

Biblioteka  
UMK  
Toruń

354030

CONITWY W DOLINIE PRADNIKA



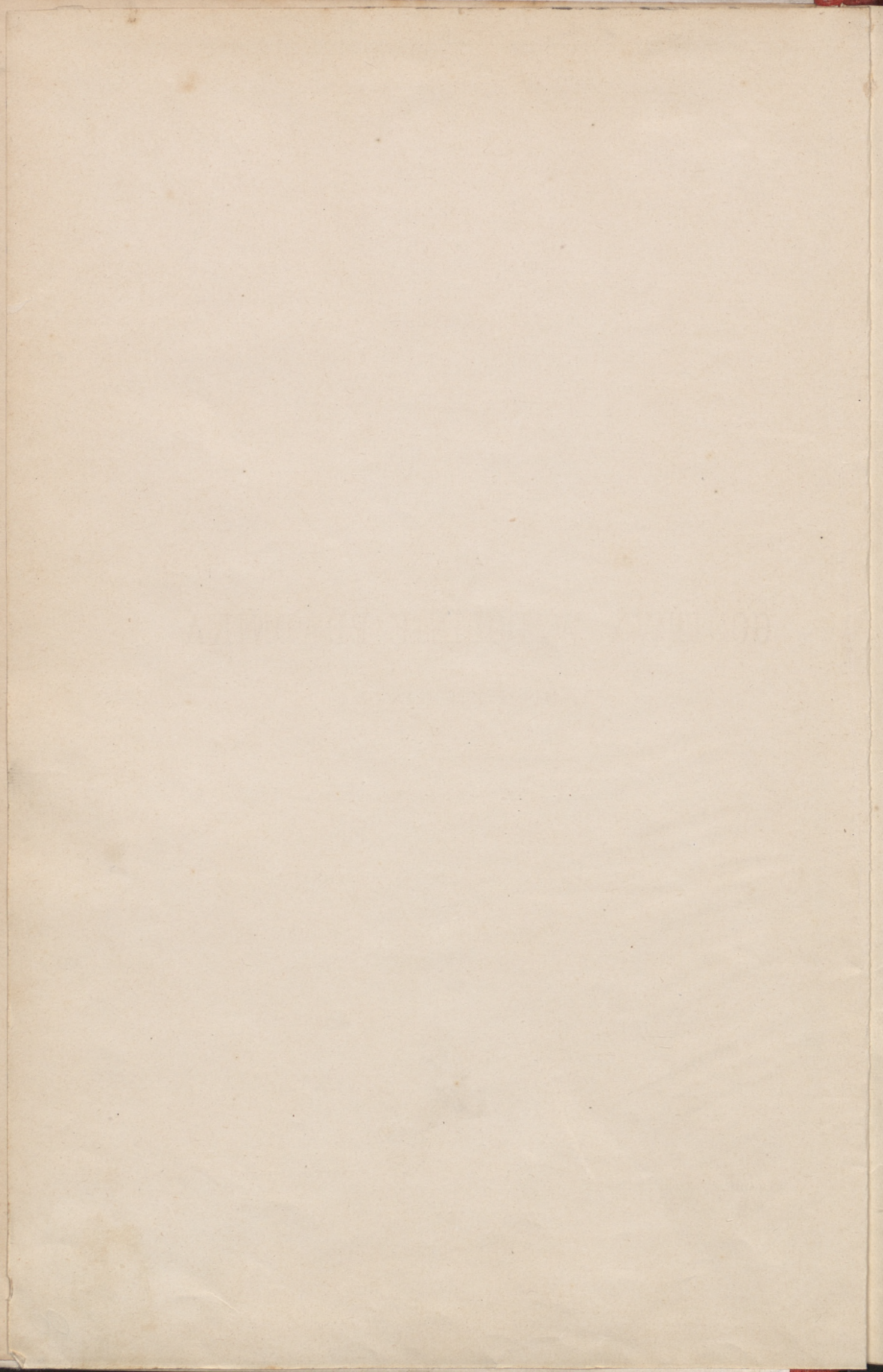
CONITWY W DOLINIE PRADNIKA













# GONITWY W DOLINIE PRĄDNIKA

BAŚŃ DZIEJOWA.

W szeregu poematów z których się ma składać »Polska w Pieśni«, **Gonitwy w dolinie Prądnika**, jako zawierające dzieje pierwszych Leszków, następują zaraz po **Wandzie**.



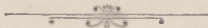
WYDZIAŁ PRACOWNI

WYDZIAŁ PRACOWNI



1111

# POLSKA W PIEŚNI.



## GONITWY W DOLINIE PRĄDNIKA

BAŚŃ DZIEJOWA

PRZEZ

*Deotyma*  
DEOTYME.



1899.



POLSKA W PIĘŚNI.

COMITWY W DOLNIE PRADNIKA

WASA DZIELOWA

Дозволено ценаурою.  
Варшава, 18 Августа 1898 г.

PROTOME

354030



D. 2427/64



ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

MOJEGO OJCA

WACŁAWA ŁUSZCZEWSKIEGO.



Złókły kartki mojej Baśni.  
Lecz gdy sercem patrzę na nie,  
Świecą jasno, codzien jaśniej.....  
Czyste złoto! Malowanie!

Zkąd ów połysk niezatarty?  
Ach rozumiem, Ojczy miły!  
Wszak ostatnie to są karty,  
Co się oczu Twych prosiły,  
I ostatnie Twe spojrzenie,  
Świeci na nich nieskończenie.....

. . . . .  
. . . . .

Choć to piosnki puste, małe,  
Przecie kwilą na Twą chwałę,  
Bo na chwałę tej DOBROCI,  
Która niby kwiat paproci,  
Tyle skarbów nam odkrywa,  
Ile nie śnią ich bogacze.



Ja, znalazłam ją, szczęśliwa!  
Dziś, nieszczęsna! po niej płaczę.

W Twojej duszy kwitła ona,  
Szaréj ziemi ku ozdobie,  
Lecz ku niebu tak wzniesiona,  
Że aż Pan Bóg wziął ją sobie.....

. . . . .  
. . . . .

Warszawa,  
1897 r.





## SŁOWO WSTĘPNE.



Baśń dziejowa, — te dwa wyrazy wydają się wręcz sobie przeciwne, a jednak w życiu ludzi i ludów, zadzierżgają się nieustannie, tak jak niebo i ziemia, choć sobie odwrotne, stykają się całym kołem widnokregu.

Dawniej, marzyło mi się podwójne przedsięwzięcie: z jednej strony, w szeregu pieśni odlać postaci dziejowe, — z drugiej, w szeregu innych pieśni, odtworzyć podania i baśni, cały cudowny świat naszego ludu. Te dwa dzieła miały być czołem prowadzone, i miały przedstawiać dwie równomierne strony ducha.

Lecz zaledwie jedna praca zaczęła kształty przybierać, już zahaczała się o drugą; im dalej szły obie, tém ściślej na siebie zachodziły, tém bardziej nikła ich granica. Aż okazało się jawném, że jedna bez drugiej samodzielnie ostać się nie zdola, że są dwoma brzegami, pomiędzy którymi jedna tylko pieśń płynąć może.

Z początku, nieco było zasmucającém to zmniejszenie dwóch przedsięwzięć do jednego, ale smutek trwał krótko; i owszem, budowniczy ucieszył się myślą, że będzie mógł użyć wszystkich cegieł do jednego gmachu, zamiast je dzielić na dwa domki.



Im głębiej patrzyłam w przeszłość, tém wyraźniej dostrzegałam niebieskie małżeństwo jej dwóch pierwiastków: Rzeczywistości z Cudownością.

Nikt nie przeczy, że poematom dziejowym trzeba podstawy *rzeczywistej*, choćby tak drobnej jak jedno ziarenko. Ale i drugi żywioł, *cudowny*, ma równą w ich nastroju wagę.

Cudowność jest w poezji tém właśnie, co stanowi poezję: objawieniem innych światów.

Czy to objawienie opiera się na legendzie, czy na zaboronie, czy na czystej fantazji, zawsze nieco zaspakaja tęskną ciekawość człowieka, co otoczony widokiem samych skutków, próżno dręczy się i pyta wszędzie o przyczyny. Gdy poezja na niektóre z tych pytań, choć przypuszczalnie odpowiada, gdy kluczem wyobraźni otwiera zagadki, których myśl otworzyć niemoże, gdy czyny i koleje ludzkie tłumaczy przez wpływy istot i sił wyższych, — tłumy słuchają jej chciwie, i szeptają między sobą: »Może ona więcéj wié od nas?«

To téż poeta, w każdej przygodzie życia, w każdym ruchu serca, w każdym przejawie myśli, szuka owego *Deus ex machina*, co jest filozofją poezji. Tam nawet gdzie nie znajdzie cudowności, dotwarza ją; ale rzadko dotwarzać musi; w przedmiotach godnych pamięci, napotka ją niechybnie.

Wszystko co wielkie, prędjéj czy późniéj, otacza się cudownością. Spojrzmy na postacie dziejowe: wszyscy praojcowie narodów, założyciele państw, ich zdobywcy i obrońcy, słowem wszyscy bohaterowie, owiani są tą aureolą. Umysł rzeszy, ilekroć widzi postać wyższą nad zwykłą miarę, przypuszcza że ta wyższość musi mieć stosunek bezpośredni z potęgami innego świata, i że tylko przy ich pomocy, może siłą ludzką stwarzać nadludzkie dzieła. A chociaż to przypuszczenie uwłacza poniekąd samodzielności człowieczéj, jednak — rzecz dziwna — nikt się od niego nie uchyla, największym owszem zaszczytem dla bohatera, jest przejście w świat legendy, a czas tego przejścia daje niejako miarę jego wielkości: dla wielu, nadchodzi dopiero po długich wiekach; inni, wnet po śmierci przeobrażają się

w coś nadziemskiego; niektórzy są tak wielcy, że już za życia krążą o nich cudowne wieści.

A co się rzekło o ludziach, to rzecz można i o wypadkach; każdemu wielkiemu, wpływowemu wypadkowi, wyobraźnia ludów nadaje zwolna kształty nadprzyrodzone.

Zadaniem dziejopisa jest, rozpedzić te chmury, i zmienić dzieje na wielką błękitną pustynię, po której tylko słońce prawdy idzie. Zadaniem poety jest owszem, uchronić ludzi od tej spiekoty ducha, i rażące światło rzeczywistości tak przysłonić obłokami, ażeby się w ich półprzezroczu, zdradzało tylko przez czarodziejską grę kolorów; a tym obłokiem, z którego poeta buduje swoje zakłęte palace i krajobrazy, jest Cudowność.

W ludzkim słowie, przybiera ona różne kształty, ale nigdzie nie występuje śmieliej i rozrzutniej jak w *Baśni*; tam stokroć jeszcze bywa zuchwalszą niż w *Podaniu*.

Podanie jest zawsze nieśmiałe. Zaczyna od wyrazów: »Chodzi wieść..... Tak mówią..... itp.« Dziwom, które opowiada, usiłuje nadać pozory prawdopodobieństwa.

Baśń nie przypuszcza nawet, aby kto mógł wątpić o jej twierdzeniach, nie tłumaczy się ze swoich najdzikszych pomysłów. Niepohamowana w rozpędzie, jednym rzutem przeskakuje przepaści, nad którymi rozum stanąć musi; samą wyobraźnię zadziwia, samą fantazję prześciga, aż tą zuchwałością olśniwszy słuchaczy, wprawia ich w stan pół-snu a pół-jawy, często tak błogi, że gdy się budzą, to z westchnieniem żalu.

Dla pisarza, Baśń ma jedną jeszcze zaletę: styl, sobie tylko właściwy. Inaczéj się ma z Podaniem; autor może je opowiedzieć stylem jaki mu się podoba wybrać. Podanie jest rysunkiem, który przyjmuje wszelaki koloryt. W Baśni przeciwnie, opowiadacz może dowolnie odmieniać rysunek, ale koloryt, styl, musi zachować nietknięcie, pod karą chybienia celu. Jest-to dla poety wielka trudność, a zarazem wielkie bogactwo. Prawdziwy artysta lubi trudności, chętnie poddaje się więzom sztuki; wie że poezja jest aromatem tak lotnym, iż zostawiona w zupełnej swobodzie, rozwiewa się niepochwytnie, im zaś



większą liczbą kryształów zamknięta, tém dłużej trwa i mocniej pachnie.

Jednak Baśń, sama przez siebie, jeszcze nie jest poezją, i lud to czuje, kiedy najczęściej opowiada ją w niewiązanej mowie. Czemuż nią nie jest? Wszak posiada jeden z głównych warunków poezji, *cudowność*? Tak, — ale nie posiada drugiego, niema ani cienia *rzeczywistości*, i tu się okazuje niższą od Podania, które w cudowną osnowę, wplata zawsze jakąś, choćby najłżejszą nitkę prawdy.

Dla tój to przyczyny umysły poważniejsze, które dobrze pojmują wysokie znaczenie Pieśni i Podań ludu, z niejakiem lekceważeniem spoglądają na jego Baśni.

Sami poeci, co z tych Pieśni i Podań tak świetnie już u nas umieli skorzystać, ze świata Baśni jakże mało przyswoili sztuce! A jednak nie brakuje im zasobów; od lat kilkunastu, zniwo na tém polu jest obfite; Wójcicki, Siemiński, Baliński, Barszczewski, Gliński, że wielu innych pomnę, w szacownych swoich pracach nagromadzili takie ogromy naszych Baśni, że niedługo wyrównają zbiorom innych narodów. Poeci nasi podziwiają ich wdzięk rodzimy, powtarzają chórem że to skarbnica nieprzebrana, a jednak tój skarbnicy jeszcze prawie nie tknęli, ci zaś którzy tknąć próbowali, mimo wielu zalet roboty, nie dopięli celu, bo ślepo szli za ludem, przerabiając tylko na wiersz jego prozę. Nie tak postępuje prawdziwa sztuka. Poeta który pisze baśni dla baśni, próżno się trzyma; lud już ją lepiej od niego opowiedział. Zadaniem sztuki byłoby, dodać do Baśni to, czego jój w pierwotnym kształcie brakuje, dodać jój tło jakiegokolwiek rzeczywistości.

Czyżby naprzykład niemożna podania dziejowego ustroić w baśń jakby w szatę? Poeta mógłby nawet pożyczyć szatę od kilku baśni; od jednej wzięłby koszulkę prostoduszności, od drugiej błyskotliwy naszyjnik czarów, od innej czerwony płaszcz postrachu, od innej jeszcze wianek z pączków tajemnicy. Ubrania mogą być różne, ale wszystkie powinny być włożone na

jedno podanie, bo podania, niby z kamienia wykute, nie dają się samowolnie łamać ani łączyć, każde z nich musi zachować własną postać, podczas kiedy baśni tak są sobie bliskie, że można je przelewać i stapiać jakby kruszce.

Podobne dzieło nie byłoby nawet nowém; choć rzadko, jednak i takie utwory trafiają się między ludem; granica obu tych rodzajów nie jest u niego tak ściśle oznaczona, aby czasem ich nie kojarzył, i podania nie zamknął w baśni. Owe to rzadkie przykłady, mogą być wskazówką dla poety.

Ale nie każdemu podaniu będzie równo do twarzy w baśniowym przystroju. Naszém zdaniem, podania z czasów tak zwanych *bajecznych*, najkorzystniej by się w nim wydały. Mają one warunek »rzeczywistości«, bo zamykają jakieś mgliste przypomnienie prawdziwych ludzi i wypadków, a przytém tak są obrosłe w »cudowność«, że choć od wieków zasuszone w zielniku kronikarzy, dziś jeszcze na baśń zakrawają, i same się o jój kształt proszą.

Spróbujmy więc, pod swobodną muzykę baśni, podłożyć kilka słów dziejowych. Przysłowie mówi:

»Spróbować nigdy nie zaszkodzi«.

Warszawa,  
1866.



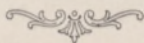




CZĘŚĆ PIERWSZA.

---

O WADOWIE I JÉJ TRZECH SYNACH.





THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY



as się czernił het, daleko!  
W lesie stała, chatka biała,  
Z gołębnikiem i pasieką.  
Pólko przy niej kłosem plywa —  
W sadzie marszczą się warzywa —  
Jabłoń wstrząsa złote galki —  
Słoneczniki kręcą głową —  
A tu róże, a tam fjałki,  
Szepcą, cichą woni mową.

Chatka, cała się uśmiecha.  
Jakby futro na niej strzecha —  
Bluszcz się zwiesza przez okienko —  
W drzwiach, równianka dożynkowa.

A w téj chacie żyła wdowa.  
Tkala równo, przędła cienko,  
I kołacze piekła słodko.  
Wzór gosposi!

A przy wdowie,  
Dorastali trzech synowie,  
Junak, Mądrał i Dobrotko.

Junak chodzi z miną chwata.  
Nieraz rzekłbyś, że ma chrapkę,  
Na zawojowanie świata.





Prędkie, giętkie, a wysoki,  
Zawsze trzyma się pod boki,  
I na bakier nosi czapkę.  
Żubra on za róg pochwyca.  
Pływa, jakby skrzela rybą.  
Strzały nigdy mu nie chybią,  
Choćby strzelał..... do xiężycyca.

Mądrał owszem starszych dziwi.  
Wzrok ma bystry, lica blade.  
Choć młodziuchny, ludzie siwi,  
Chodzą nieraz doń po radę.  
Oj bo Mądrał, od lirników,  
Podróżników, czarowników,  
Dziwniej uczył się nauki.  
Zna on drogę gwiazd błękitną,  
Wię, co znaczą grzmotu huki,  
Gdzie się gnieźdzą białe kruki,  
I gdzie czarne lilje kwitną.

Jasne włosy miał Dobrotko.  
Był nieśmiały, cichuteńki,  
Ale serce miał jak złotko.  
On pieszczochem u mateńki.

☆                      ☆  
☆

I wesolo jak wiewiórka,  
Żyła sobie skrzętna czwórka.  
Lecz co tylko jest pod słońcem,  
To się kończy jakimś końcem.

Czy to lata służą komu?  
Wdowa codzien włosy gladzi,

Codzień bielsze. Coraz rzadziej,  
Skróń wychyla za próg domu.  
Próżno matkę, trzech chłopacy  
Wyęcza ją, cieszą, strzegą,  
Czy od wieku, czy od pracy,  
Zaniemogła dnia jednego.  
I jak brzoza na jeziorze,  
Coraz niżej się rozrasta,  
Tak, na białe swoje łożo,  
Pokłoniła się niewiasta.

Czarnym smutkiem zaszła chata.

— Od wsi do wsi Junak lata,  
Po wróżbiarzy i guślarzy.  
— Mądrał w garczku ziola warzy,  
I próbuje zakłść mocy.  
— A Dobrotko matkę pieści,  
W dzień jój służy, a po nocy,  
Opowiada jój powieści.

Śmierć mocniejsza od miłości.

Wdowa leży coraz prościój.  
Z twarzy jój się farba starła —  
Usta zwarła — oczy zwarła —  
Bledła..... cichła..... i umarła.

Brzmią po lesie smutne głosy,  
Aż się liście pozwieszały.  
Junak jęczy i rwie włosy.  
Mądrał siedzi skamieniały.  
A Dobrotko płacze..... płacze.....  
— W jednej chatce, trzy rozpacze.

☆

☆

☆



Wieczór nadszedł. O wieczorze,  
Co zgiełk taki znaczyć może?  
Trzeszczą łomy..... grzmi po borze,  
Krzyk tak pełen grózb i trwogi,  
Krzyk pół-ludzki a pół-ptasi,  
Że zadrgnęli chłopcy nasi,  
I na równe wstali nogi.  
Z progu patrzą: nad drzew szczytem,  
Pod xiężycem krążąc w okół,  
Z szumem skrzydeł, ze szpon zgrzytem,  
Toczą walkę, sęp i sokół.

Złe spotkanie dla sokola!  
Sęp go drasnął..... już go lowi.....  
Sokół pierzcha..... zmniejsza koła.....  
Wciąż okraża daszek wdowi —  
Aż runąwszy we drzwi chaty,  
Padł na łono Dobrotkowi.

Sęp się rozżarł — rzuca czaty —  
Łeb najęża wichrowaty —  
We drzwi także mierzy lotem,  
Już w nich miga siwym czubem.....  
Ale Mądrał, zręcznym zwrotem,  
Drzwi zatrzaskał mu przed dzióbem.

Junak, dalej do cięciwy!  
Strzelił z okna. Sęp ucieka.....  
Mdleje..... pada..... i, o dziwy!  
Ptak przemienia się w człowieka.

Jak u karła, wzrost niewielki,  
Lecz co tuszy, to niedźwiedziej.  
Oczy skrzące jak węgielki,  
I strzępiasta broda z miedzi.

Junakową tknięte strzałą,  
Ramię strasznie go bolało,  
Krew zeń bucha jak z garnucha.  
On ucieka wywijasem,  
Krzyczy, drzewa rwie z tartasem.....  
Ryknął — zniknął.

Cichnie dróżka.

Tylko jeszcze między lasem,  
Coś tam huka jak pogróżka.

A i w chacie dziw tymczasem:  
Sokół zmienił się w staruszka.

Ze sto lat mu pewno będzie,  
Tylko oczy jeszcze młode.  
W białych włosach ma żołędzie,  
I do pasa srebrną brodę.  
Strój podobny skórze rysiej,  
W kilka barw się na nim lamie,  
A fujarka mu przez ramię,  
Na promyku słońca wisi.

Trzej chłopacy, osłupiali,  
Przy nim stali, spoglądali,  
Co to jeszcze będzie dalej?

Starzec siadł, i mówi z ławy:  
— »Dzieci, mnie się to podoba,  
»Jak kto milczy, choć ciekawy.  
»Więc wam powiem, że my oba,  
»Czarodzieje, nie bez sławy.

»Nazwy nasze powiem cicho.  
»Rzadko mówię je młodzieży.  
»W nich zagadka życia leży:  
»Jam jest Cetno, a on Licho.



»Tamten, jako widzieliście,  
»Nienawidzi mnie bez miary,  
»Bo ja wszystko chcę do pary —  
»A on zawsze, nieparzyście.

»Z dawien dawna, jak dwa wodze,  
»Rządy świata-śmy objęli.  
»Ja kojarzę, łączę, godzę —  
»A on klóci, tnie, i dzieli.

»Pod kształtami tysiączeni,  
»Już walczyłem w ogniu, w wodzie,  
»I w powietrzu, i na ziemi,  
»Z tym złośnikiem o pstrój brodzie,  
»Co mię wszędzie dźga i bodzie.

»A chciał dzisiaj skończyć dzieło!  
»Dzieci! Gdyby nie obrona,  
»Między wami znaleziona,  
»Byłoby mię Licho wzięło.

»Dziś więc, o co chcecie, proście.  
»Nikt się nigdy nie uzali,  
»Aby tacy jak ja, goście,  
»Dług po drodze zostawiali.

»Znam ja wejście tego lochu,  
»Gdzie jest pełno starych łupów.  
»Tam pieniędzy jakby grochu,  
»A brylantów jakby krupów.

»Nie? To taki miecz dać mogę,  
»Co na wojska rzuca trwogę.

»Lub ten pierścień, jak włos cienki,  
»Co przykuwa myśl panienki.

»Jeśli ciężą wam zgryzoty,  
»Mam ja tutaj, w puszcze złotój,  
»Balsam, trzykroć zamawiany,  
»Co serdeczne goi rany.«

— »U nas«, — rzekną mu chłopaki, —  
»Jest zgryzota.... Ale takiój,  
»Żaden balsam nie uśmierza.«

Tu rozwarli drzwi alkierza.  
Starzec ujrzał martwą wdowę,  
I zrozumiał..... schylił głowę.

— »Was mi sierot, żal.....« — Powiada. —  
»Lecz tu trudna czarom tama.  
»I na śmierć istnieje rada,  
»Lecz tak straszna jak śmierć sama.

»Za lasami, za puszczami,  
»Kędy tysiąc pokus mami,  
»Jest u końca, blisko słońca,  
»Góra cudna i straszliwa,  
»Co *Sobotnią* się nazywa.

»Tam wyrasta z żywěj skały,  
»Drzewo, sławne na świat cały,  
»Gdzie niebieskie są migdały.

»Na tém drzewie, ma swe gniazdko,  
»Ptak, nie z czubkiem ale z gwiazdką,  
»Co tak śpiewa, że nikt niewie,  
»Czy nie człowiek jest w tym śpiewie?

»A przy piękném oném drzewie,  
»Tryska źródło, dziw nad dziwy!  
»Pod kropelką jego wody,



»Kto był stary, wstaje młody —  
»A kto umarł, wstaje żywy.«

Co to? Co? Już chłopcy biegą?  
Jeden skacze przez drugiego.  
Mądrał pierwszy wstrzymał pędy,  
Aby spytać się: — »Którędy?«

A staruszek się uśmiecha.  
— »Patrzeć na was« — rzekł — »pociecha.  
»Ale drogi cel daleki,  
»Przytém Duchy zle jój strzegą.  
»Kto nie wróci dnia siódmego,  
»Ten nie wróci już na wieki.

»Trzeba, milcząc, iść prościutko.  
»Prosta droga zawsze krótką.  
»Lecz kto stąpi raz ukośnie,  
»Lub wymówi, choćby słowo,  
»Lub się zwróci, choćby głową,  
»Ten kamieniem w ziemię wrośnie.

»Iść niedosyć z sercem śmiałem,  
»Trzeba serce mieć gorące.  
»Wiem że poszły tam tysiące,  
»Czy kto wrócił, nie słyszałem.«

Starzec szeptał jakby ponik.....  
Chwilkę przycichł — i, z tą chwilką,  
Gdzieś się podział. W chacie tylko,  
Lata sobie polny konik.

Nad chłopcami krąży, miga,  
Jak seledynowa fryga,

Pułap zmiata mdłą sukienką,  
Główka jego, wciąż ruchliwa,  
Wąsikami na nich kiwa,  
I wyleciał przez okienko.



Rwie się w drogę trójka młoda.  
Wziął Dobrotko za czapczynę.  
— »Puściecie!« — Wola. — »Chociaż zginę,  
»Mnie najmniejsza będzie szkoda.«

— »Właśnie ma też iść to bobo!« —  
Szydzą bracia. Rośnie wrzawa.  
W końcu, radzą między sobą:  
— »Niech najstarszy idzie z prawa.«

Wziął konewkę obijaną,  
Bochen chleba, nóż z toporem,  
I gdy świta białe rano,  
Poszedł Junak czarnym borem.

Gdzież cierpliwość mieszka taka,  
Co te siedem dni przetrzyma?  
Siódmy nadszedł. Coś Junaka  
Jeszcze niema. No, i niema!

Z ócz Mądrała iskry biją.  
Chwyta flaszę długo-szyją,  
W sakwę włożył stos kukielek,  
Starą xięgę, parę szkielek,  
I wyruszył.

— »Żegnaj bracie!«  
Sam Dobrotko, sam już w chacie.



To przy zwłokach się użala,  
To przebiega bór oczyma.  
Już dzień siódmy, a Mądrala,  
Coś jak niéma, tak i niéma.

Więc wziął dzbanek z wążkiem uszkiem,  
Podpłomyków do torebki,  
Wrota zamknął na zaszczepki,  
Poszedł, z sercem i z dzbanuszkciem.



W wielkich trawach brnie po rosie —  
Przeskakuje pnie, strumyki —  
Drze się w cierniach i we wrzosie —  
Idzie, idzie przez las dziki.

Już pokrwawił sobie nóżki,  
Bo nie szuka żadnej dróżki,  
Rżnie na przelaj chłopię młode,  
Po *Odżywiającą wodę*.

Z drzew od czasu mu do czasu,  
Ptaszki ślą powinszowania,  
I konwalja mu się kłania.  
Aż na koniec — wyszedł z lasu.



Patrzy, a tu kraj nieznany.  
Z rzek się wrząca krew przelewa —  
Ołowiane stoją drzewa —

Dalój miasta, których ściany,  
Całe kute są z żelaza —  
Dach, ze smoczéj łuski rudéj.

Z miast, wychodzą wielkoludy,  
Zbrojne, groźne jak zaraza.

Idą, — chłopca obstąpiły.  
Wódz, niosący aż dwa miecze,  
Piorunowym głosem rzecze:

— »Ja zarządzam w państwie siły.  
»Zwę się Dągal. Przed mą sławą,  
»Drży od wieków ludzkie plemię.  
»A jest u mnie takie prawo:  
»Kto chce przejść przez moje ziemie,  
»Ten się musi zmierzyć ze mną.  
»Gdy od walki się uchyli,  
»Wszyscy będą nim gardzili.«

Dobrotkowi w oczach ciemno,  
Srodze boli go przymówka.  
Lecz nie piśnie ani słówka,  
Idzie ciągle, spuszcza oczy.

Dągal ciągle za nim kroczy.  
— »A cóż, niechcesz? Fochom wara!  
»Wszak to ja ci zaszczyt robię?  
»Naści miecze! Równa miara.  
»Który zechcesz, to bierz sobie.  
»Co? Nie bierzesz? Wstydź się mały!  
»Tobie zdrowie z oczu świeci,  
»A masz stracha? Teraz dzieci,  
»Będą się już z ciebie śmiały.«



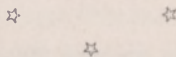
Serce szepce Dobrotkowi:

— »Wy się ze mnie śmieście zdrowi,  
»Dla mnie znośna próba taka.  
»Lecz tu strach mi o Junaka!«

Jednak próba jeszcze ślizka!

Kiedy weszli do mieściska,  
Zaczerwienil się po włosy,  
Bo go doszły setne głosy:  
— »O..... widzicie? Tchórz! Ucieka!«  
I jak z iskry płomień błyska,  
Tak z pobliza i zdaleka,  
Runął śmiech urągowiska.  
Przez ulice i przez rynki,  
Chłopiec idzie, ale w męce.  
Ze wszech ust go ranią drwinki,  
Wytykają wszystkie ręce.

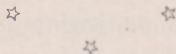
Aż nakoniec — wyszedł z miasta,  
I wnet mocy mu przyrasta,  
Bo pokusa zwyciężona,  
Umię skrzydła wpiąć w ramiona.



Czasem tylko, dla ochłody,  
Ze dzbanuszka łyknie wody,  
Co na drogę wziął z zagrody.

Kiedy słońce z nieba ginie,  
Wszedł na wielkie wydmy piasku.  
Noc przeciąga się do brzasku,

On wędruje przez pustynię.  
Już się nudzi.....



Aż w południe,  
Ku nieznanej zszedł krainie.

Wszędzie ludnie, wszędzie cudnie.  
Przed nim droga, jak dla pana,  
Cienkiem sukmem wyścielana.  
Z każdej strony płynie rzeka;  
Jedna z miodu, druga z mleka.  
Na wybrzeżu, zwodząc tany,  
Razem piją, wilk z barankiem.  
Daléj, pałac żwierciadlany,  
Koralowym świeci gankiem.  
Jest i ogród z wieczną wiosną,  
Gdzie na wierzbach gruszki rosna,  
I brzmia liry samograje.  
Radość! Jasność! Woń! Muzyka!  
Chłopiec patrzy..... i poznaje:  
— »A!..... To kraj króla Gwoździka!«

Ledwie nadszedł, czujna warta,  
O lustrzane blanki wsparta,  
Chwyta trąbę — hasło daje —  
I te wszystkie budzi kraje.

Bramy gmachu się rozwarły.  
Z nich wyjeżdża, w pysznej grozie,



Wóz żałobny. A na wozie,  
Ach! król Gwoździk leży zmarły!

W gronostajach i szkarłatach,  
Śpi na kirach i na kwiatach,  
Wielko-głowy, ciemno-licy,  
Pan żelaznej tajemnicy.

Przed nim, wojska bohaterzy,  
Dzwonią Noże i Siekiery.

Za nim idą dostojnicy:  
Klin z Haczykiem, Świder z Młotkiem.

A za niemi, jak od wieków,  
Lecą kupy prostych Ówieków.

Wszyscy stają przed Dobrotkiem,  
I poduszkę niosą przodkiem.  
Na poduszce lśni korona,  
Klejnotami zatrzęsiona.  
Wszyscy pokłon mu oddali,  
A choć chłopiec pędzi środkiem,  
Klin mu taką mowę pali:

— »My witamy cię tak mile,  
»Do gadania mamy tyle,  
»Ty uciekasz? Czyż nie prościej,  
»Byś przystanął choć na chwilę?  
»Jesteś, w kraju pomyślności.  
»Pod monarchą nieboszczykiem,  
»Szczęście nasze doszło cudu.  
»Tak przyciągał serce ludu,  
»Jakby przybił je gwoździkiem.  
»Kiedy spojrział, zgadł niezwłocznie,  
»Kto do czego był narzędziem?

»Ach, i umarł! Niechże spocznie!  
»Ale my? Cóż czynić będziemy?  
»Wybadaliśmy Wyrocznię.  
»Ta kazała, byśmy co dnia,  
»Szli za bramy, wschodnią stroną,  
»I pierwszego tam przychodnia,  
»Uwieńczyli tą koroną.  
»Tyś jest pierwszy! Bierz-że władzę!  
»Niechcesz stanąć? Tak ci pilno?  
»Ha! I na to, po rozwadze,  
»Dam ci radę nieomylną.  
»Nie zbaczając z twojej drożki,  
»Ściągnij rękę do poduszki,  
»A my, wierne twoje służki,  
»Wszędzie pójdziem twoim śladem,  
»Byleś tylko włożył djadem.«

Tu się Ćwieki posypały  
Do nóg panu, i tłum cały,  
Głosem chrzescząc jak grzechotką,  
Krzyczy: — »Wiwat król Dobrotko!«

A ten ręką ani ruszy,  
Tylko idzie, myśląc w duszy:  
— »Niech on sobie tron zachwala.  
»Choć Klin mocną ma wymowę,  
»Mnie nie zabił klina w głowę.  
»Lecz tu strach mi o Mądrala!«

☆

☆

☆

Już się orszak został zdala.  
Na gościńcu, jak w potoku,  
Zwał kamieni. Dziecię wdowie,



Stąpa wolniej.... Aż o zmroku,  
Wyszło znowu na pustkowie.

Idzie, — zewsząd go choina,  
W sto kolczastych rąk opina.  
O głaz potknie się co chwila —  
Podplomykiem głód omyła —  
W dzbanku brakło mu napoju,  
A tam z boku woda pluszcze.....  
Zatkał uszy na szum zdroju,  
I znów idzie w czarną puszcę.

Ale z dzieckiem coś już kuso....  
Śmierć mu w oczy patrzy śmieie.  
Ach, i zwycięstw nad pokusą,  
Gdy za wiele, to za wiele.

☆

☆

☆

Aż o świecie, o wesele!  
Co tam stoi? Czy to chmura?  
Nie, to ona, mgławo-pióra,  
Tajemnicza i milcząca,  
Góra gór, *Sobotnia góra*,  
Samo niebo szczytem trąca!

Odżył, widząc to, chłopczyna.  
I jak skoczny ryś, bez drogi,  
Wspina się pod górę, wspina.

Ranią go po licu głogi —  
Z pod nóg, darń ucieka ślizka —  
Gad po rękach się przeciska —  
Wicher huczy — drżą urwiska —

On się wdziera z jasnem czołem.  
Już wierzcholka niedaleki —  
Już zwycięzko wznosił powieki —  
Aż potruchlął....

— »Tu zginąłem!«

Najgórniesza, naga skała,  
Jak mur, gładko przed nim stała.  
Nie! Tam nikt się już nie wdrapie,  
Choćby kozie miał kopytka.

Na ostatnim traw okapie,  
Umocował dłoń rozbitka,  
Patrzy między skal rozłamy,  
I, o szczęście! Tuż nad głową,  
Dopatruje wejście jamy.  
Wpełznął w paszczę granitową.  
Przez krużganek idzie niski,  
Potém wyższy — już wysoki.  
Śród wilgoci, śród pomroki,  
Różowawe drżą połyski....  
Aż dostrzega, z lewój strony,  
Otwór, łukiem wydrażony.

Za nim, widzi co? Jaskinię,  
Przecudowną jak świątynię,  
Alabastrem wyłożoną.  
Pod sklepieniem pozłocistém,  
Rubinowe lampy płoną —  
A wodotrysk, srebrnym świstem,  
Budząc echa, gór latawce,  
W agatowój gra sadzawce.  
Tuż laweczka, czy to z darni,  
Czy z jakowéjs nóżki sarniej,  
Czy z jedwabiu. A na lawce,  
Siedzi panna jakby wiosna,  
Piękna, strojna, — lecz żalosna.



Z tylu smug ma przyodzianie,  
Ile jest ich w tulipanie.  
Ma i zawój, gdzie się trzęsą,  
Stu-djamenty półxiężyca.  
Czarne oko, z długą rzęsą,  
Niby mgleje, a zachwyca.  
Przed różanym ust jój listkiem,  
Gaśnie krasa zorzy rannój.  
Lecz niestety, cóż po wszystkim,  
Kiedy rączki owój panny,  
Ach te rączki, te ślicznoty,  
Utoczone do pieszczoty,  
Są zakute w łańcuch złoty!

Za nią, krąży jak na straży,  
Któs, o dziwnie wązkiej twarzy.  
Niewiem w jakiej tam kolebce,  
Mógł się rodzić ten przechera?  
Na słomianych nóżkach drepce,  
Pajęczyną się podpiera,  
W pieńku chodzi jak w kożuchu,  
Szkłanną czapkę ma na uchu,  
A zdradzieckość w każdym ruchu.

Przy słomkowym nóg powiewie,  
Na pół w żarcie, na pół w gniewie,  
Bryka, znika, naksztalt bzika,  
Najśmieszniejszy z niegodjaszy —  
Tak, że panna nigdy niewie,  
Z której strony ją nastraszy?

Gdy Dobrotka zobaczyła,  
Okrzyk wydarł się z jój łona.  
Biegnie, błaga zapłoniona:

— »Samo niebo cię przysyła,  
»O wędrowcze! Skrusz me pęta!  
»Jam xiężniczka jest zaklęta.

»W kraju kwiatów, tam na Wschodzie,  
»Gdzie perlami płynie morze,  
»Gdzie wiosłują srebrne łodzie,  
»Na ojcowskim żyłam dworze.

»Raz gdy sama szłam w ogrodzie,  
»Smok przyleciał — cały bury —  
»Ział płomieniem — patrzył brzydko —  
»A na smoku siedział Dydko,  
»Co powozil jedną nitką.  
»Ten mię porwał aż pod chmury,  
»I wprowadził w tę jaskinię,  
»Gdzie mi życie we łzach płynie.  
»Zły ten cudak na złych nóżkach,  
»W złotych trzyma mnie łańcuszkach!

»Śliczny chłopcze! Dobra duszo!  
»Czyż me prośby cię nie wzruszą?  
»Chcę przysługi tak malutkiej!  
»Zabierz tylko u strażnika,  
»Czarnoxięzki klucz od kłódki,  
»Co kajdany me zamyka.

»Czy ty niedbasz o nic w świecie?  
»Czyś ty głuchą jest osobą?  
»Raz obejrzyj-że się przecie.  
»Dydko skrada się za tobą —  
»Z urągania czy z pustoty,  
»Sam ci daje kluczyk złoty!«

Chłopiec słyszy, jak wabiąco,  
Klucz nad uchem jego brzęczy.

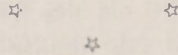


Zadrzał..... wszystkie barwy tęczy,  
Ćmią mu oczy łzą gorącą.

Po raz pierwszy dziś, pacholę,  
Przebudziło się młodzianem.  
Walczy sercem rozszarpanem.....  
Już, o nieba! traci wolę.

Ale nagle wznosił oblicze,  
W duszy westchnął: — »O mateńko!  
I ucieka — prościuteńko,  
Przez pieczary tajemnicze.

Pędzi..... trzyma się za głowę —  
Aż napotkał — drzwi stalowe.  
Dotknął — zaraz się rozwarły.  
Jak sen, pierzchnął mrok ponury —  
I Dobrotko, w pól umarły,  
Wszedł, na szczyt *Sobotniej góry!*



O niebieskie wszystkie moce!  
*Źródło życia*, promieniście,  
Bije snopem, spada w kście,  
I po gładkiej gra opoce.

Nad źródelkiem, pień migoce.  
Smaragdowe nosi liście,  
Turkusowe ma owoce.

Na gałązce, ptak świergoce.  
Właśnie taki, kubek w kubek,  
Jak powiada przypowieśćka:

Modre pióra, złoty dzióbek,  
A nad dzióbkiem, niby czubek,  
Majająca świeci gwiazdka.

Ptak pokręcił jasną głową,  
I zaśpiewał ludzką mową:

— »Męztwo, wieńczy się zasługą.  
»Mądrość, światłem życie złoci.  
»Lecz nad pierwsze i nad drugą,  
»Wyższą jesteś, o dobroci!

»Odkąd żyję na tym świecie,  
»Któż tu pierwszy przyszedł? Dziecię!  
»A junaków i mądrali,  
»Których ziemia otumania,  
»Ujął sen zaczarowania.  
»Oto leżą skamieniali.«

Więc Dobrotko mu się kłania:  
— »Najjaśniejszy ptasi królu!  
»To jest właśnie powód bólu.  
»Niedość życie wrócić matce,  
»Niechże synków dwóch nie traci.  
»Racz mi stanąć za doradcę,  
»Powiedz, jak mam znaleźć braci?«

Ptak pomilczał, — i tak śpiewa:  
— »Ułam sobie gałąź drzewa,  
»Schodząc z góry, maczaj w dzbanku,  
»I pokrapiaj nią kamienie.  
»Teraz, żegnam cię młodzianku!«  
Rzekł, — i wzbił się nieskończenie.

Chłopiec wierzy mu na słowo.  
Rwie gałązkę szmaragdową,



Wziął migdały spadłe z ziemi,  
I torebkę nadział niemi.

Potém klęka nad krynicą,  
Po znużeniu obmył lico,  
I nietylko dawna siła,  
Lecz nadludzka weń wstąpiła.

Dzban zanurzył tam głęboko,  
Nalał go po brzeg, jak oko,  
Z góry spuścił się wesóło,  
Różczką głązy kropi wkóło,  
I..... co nie do uwierzenia,  
Každy się w młodzieńca zmienia.

Ach, to byli ci zuchwali,  
Co na górę się wybrali,  
I usnęli — skamieniali.

A ich liczba, niepojęta!  
Gdy obejrzał się w dzień trzeci,  
Cała rzesza za nim leci.  
Kmiotki szare, i xiążęta,  
Z koronami jak promienie,  
I rycerze w karacenie,  
I gęślarze cali w bieli.  
Zliczy-że ich oko czyje?  
Wszyscy zgodnie wykrzyknęli:  
— »To nasz zbawca! Niech nam żyje!«

W końcu, Junak szedł z Mądralem.  
A choć wstyd ich palił żalem,  
Rzekli: — »Co tam!« — I na szyję,  
Braciszkwowi się rzucili,  
A on, rad był od téj chwili.



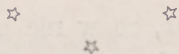






Tłum prostaczków i rycerzy,  
Nim do domów się rozbieży,  
Towarzyszy Dobrotkowi,  
Aż do samej chaty wdowiej,  
Bo jest ciekaw niesłuchanie,  
Jak też to tam zmarła wstanie?

Radujcie się, drzewa w lesie!  
Trawo, ściel mu drogę puszkami!  
Wasz Dobrotko, wasz pieszcotko,  
Wraca z dzbankiem i z serduszkami!



Wbiegl..... przed białem stanął łóżkiem,  
Schyla dzbanek, i — o dziwo!  
Pod cudowną oną wodą,  
Matka drgnęła — wstała żywo —  
I nie tylko była żywą,  
Ale zdrową, ale młodą!

Wnet przypadli bracia łzawi —  
Wszyscy trzej ściskają wdowę —  
Wszyscy czworo tracą głowę —  
Matka synka błogosławi.

Ty sam jeden wiesz, mój Boże!  
Co tam czuli zachwyceni.  
Aż wspomnieli o wieczorze:  
— »A toć goście stoją w sieni?«

Wdowa chytyła za rądelki,  
Rozpalila ogień wielki.



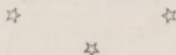
Co w obórce jest mięsiwa,  
Co w ogródku jest warzywa,  
Co w piwniczce miodu, piwa,  
Czém bogata biédna chata,  
Wszystko stawia w bród przed niemi.  
Nie żaluje dóbr téj ziemi,  
Kto z tamtego wraca świata.

Stół się ciągnął na dziedzińcu,  
Ba! i w lesie na gościńcu.  
Goście jedli, a tém szczerzój,  
Że po długich latach głodu.

Chociaż świat, co w nic nie wierzy,  
Gadał potém bez powodu,  
Że nie było w téj wieczery,  
Ani mięsa, ani miodu,  
I że tylko tłum zgłodniały,  
Miał niebieskie jeść migdały.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Po téj uczcie, czy tym poście,  
Pojechali sobie goście.



I znów dzieci z matusieńką,  
W chacie żyły milusieńko.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Dziwowano się, że wdowa  
Przy kądźalce znowu siedzi,  
Ciemnowłosa i różowa.  
I szeptali w krąg sąsiedzi:

— »W tym wypadku tkwi zawilość,  
»Co postrachy grobu zmniejsza.  
»Moc na moc, dziecięca miłość,  
»I od śmierci jest mocniejsza.«





3

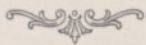
Przedstawiamy Ci, mój  
Ojciec, i matkę,  
i siostrę w tym mieście.  
W tym mieście jest  
Ojciec, i matka,  
i siostra, i brat,  
i siostra, i brat.



CZĘŚĆ DRUGA.



O CHŁOPCZYKACH, CZAROWNIKACH, I GWOŹDIKACH.





CZĘŚĆ DRUGA

D. CHŁOPSKI, CZARNOBKACH, I GOSPODARSTWA



rządziło wonczas w kraju,  
Wojewodów aż Dwunastu.  
Najprzód, było jakby w raju.  
Potém, chciano jedenastu —  
Potém pięciu, lub dziewięciu —  
Byle tylko z jakąś zmianą.  
W klótniach, trochę krwi pociekło,  
I zrobiło się wnet piekło,  
I żadnego już nie chciano.

Ciężko żyć w takowej chwili!  
Ani ładu, ani składu,  
Bo miłości ani śladu.  
W mętnej wodzie źli lowili,  
A spokojni i poczciwi,  
Stali gdzieś aż w setnym rzędzie.  
I niech nikt się tém nie dziwi;  
Zawsze było tak, i będzie.





Aż welniaste tłumy kmiece,  
I Żupany sobolowe,  
Wszyscy wzięli się za głowę,  
I zjechali się na Wiece.

Rzadko widzieć tyle zgody.

— »Wyrzucimy Wojewody.  
»Według ojców obyczaju,  
»Niech się Gminy i Opola,  
»Rządzą tak, jak czyja wola,  
»A w ważniejszych sprawach kraju,  
»Niech się wszystkie nasze rody,  
»Tam gromadzą gdzie kazano,  
»I pod jednym wodzem staną.«

Dotąd, gładko szło.

Dopiero,  
Gdy zaczęto pytać wszędzie,  
Kto tym *jednym* wodzem będzie,  
Jakbyś w drzewo ciał siekierą.  
Spadły wszelkie praw gałazki,  
Wszelki robak wyszedł z dziury,  
I porządku pieńki wążki,  
Pękł od dołu aż do góry.

Gdzie drwa rąbią, lecą wióry.  
Gdzie się kuje ważna sprawa,  
Tam i serca się nadkrawa.

Ile głosów, ile rodów,  
Tyle zwad i korowodów.  
Ten chce tego, ten tamtego,  
Trzeci sam już niewie czego,  
Każdy tysiąc ma powodów.

Kraj, bez wodza stojąc dłużej,  
Skołowaciał w takiej burzy,  
Że zaczęli już niektórzy,  
Złych żalować Wojewodów.



Aż tu w mgle, pewnego rana,  
Śliczny zjawia się staruszek.  
Żołędziowy ma wianuszek.  
Biała broda, jak fartuszek,  
Precz mu wisi po kolana.  
A on w cienką dmie fujarę,  
I wygrywa pieśni stare.



Niewiedzieli Starostowie,  
Ni Żupany, ni Kmieciowie,  
Zkąd on jest, ni jak się zowie?  
Ale widząc włos tak biały,  
Tłumy w pas mu się kłaniały.

A on idzie ku wzgórkowi,  
Gdzie starszyzna siedzi siwa,  
W pierwszym rzędzie się sadowi,  
I do rzeszy tak odzywa:

— »Aj, narodzie dobrodzieju,  
»Czy ci zadał kto szaleju?  
»Człowiek słuchać już niemoże.  
»Wszakci prosty chłop co orze,  
»Wię, że straci wszystko zboże,  
»Jeśli stadu dzikich koni,  
»Roztratować je pozwoli?  
»Biada-ż naszój wielkiej roli!  
»Któż to dziś nie depce po niej?  
»Ten podszczuwa — ten zazdrości —  
»Złe ludziska, jak źrebięta,  
»Gdy swawola je rozpęta,  
»Niszczą siejbę szczęśliwości.  
»A wstydzicie się! A zgódźcie się!  
»Co wam taki harc przyniesie?  
»Już jeżeli gwałtem chcecie,  
»Naśladować hecie-pecie,  
»To harcujcie, ale przecie,  
»Ku jakowej stałej mecie?  
»A gdy z oczu znikła zgoda,  
»Niechże ślepy los ją poda.  
»Los, to bożek wart ołtarza;  
»Wolę niebios on wyraża;  
»Ztąd, nikogo nie obraża.  
»Jego weźcie tu za sędzię.

»Stawcie w polu, jak na dłoni,  
»Słup z koroną. Potém do niej,  
»Gońcie sobie we sto koni,  
»A kto wszystkich was przegoni,  
»Ten niech raz już królem będzie.«

Cheiał staruszek mówić dalej,  
Ale ludzie mu nie dali.  
Wszyscy, zbliska i z oddali,  
Krzyczą: — »Dobrze, ojcze miły!  
»Obierzemy Los za sędzię.  
»Niechże gońba się odbędzie.«

I radośnie, i co siły,  
Wszystkie rody się zwróciły,  
Do nowego spraw obrotu,  
Byle tylko wyjść z kłopotu.

Niejednemu téż nadzieja,  
Małą furtkę już odmyka.  
— »Teraz, byle mieć konika.....  
»Któs tam wygra..... czemuż nie ja?«

Wnet na cztery kraju końce,  
Rozesłano chybkie gońce.  
Pędzą, w tuman upowici —  
Gorejące niosą wici —  
W środku każdój wsi czy grodu,  
Ogłaszają dzień igrzyska.  
W mig się zbiega huk narodu,  
Drogi szemrzą jak mrowiska.

☆

☆

☆



Właśnie drogą, tegoż czasu,  
Nasz Dobrotko jechał z lasu,  
Szukający dla swój furki,  
Dobrych kupców.

Miał tam skórki

Z popielicy i wiewiórki —  
Miał robotę z domu tkacką —  
I воск żółty — i len kręty —  
I z bukszpanu małe sprzęty,  
Które wyrznął sam na cacko.

Jadąc, śpiewa jak najęty,  
Aż się ptastwo pyta: »Czemu?«  
Z koniem gada wciąż po drodze,  
A waszątek, skrzypiąc srodze,  
Dogaduje po swojemu.

Aż tu spojrział — i umilka.  
Słucha — ściga lejc — przystawa.  
Zkąd okrutna ta kurzawa?  
Zkąd ów huk? Tu wozów kilka —  
Tam tłum konny — ówdzie pieszy.  
Wszystko gdzieś jak błędne spieszy.

Chłopiec w próbach nieznał trwogi,  
Szedł z duchami na przemogi,  
Ale z ludźmi, w żywym tłumie,  
Hardo stawiać się nie umie,  
Ustępuje wszystkim z drogi,  
Na samiutkim końcu jedzie,  
Nikt go niezna w tej czeredzie.  
— Aż się niebo zmiłowało.  
Któs zawołał: — »Stój sąsiedzie!«  
Ten ogląda się nieśmiało;  
Wóz potężny za nim rusza,  
W worach piętrzy się tam zboże,

A parobek siadł na worze.  
Przecie jest znajoma dusza!

Ów parobczak, tęgie chłopię,  
Twarz miał pełną i rumianą,  
Ogień w żyłach, ogień w stopie,  
Tak, że Lwem go nazywano.  
Służył on we wsi bogatjej,  
Milki pól od wdowiej chaty.

Złazi Lew ku Dobrotkowi,  
Ten się kulnął z furki niskiej,  
Więc witania — więc uściski.

— »Jak się macie? Zdrowi?« — »Zdrowi.«  
— »A gdzie zboże to wieziecie?«  
— »A gdzież wozić? Na Wiec przecie!  
»I o Kraków się zawadzi,  
»Tam narodu teraz mnogo.  
»Jedźta z nami jedną drogą,  
»Ludzie będą skórkom radzi.«  
— A więc jadą. We dwóch rażniej.  
Na dwa głosy śpiewać gładziej.  
Wszystko darzy się w przyjaźni.

. . . . .

Otóż błysła już i Wisła.  
Nad nią Wawel zielenieje,  
I tajemnie patrzy w dzieje,  
Czarném okiem Jamy Smoczéj.  
A stolica, gdzieś przy ziemi,  
Do Wawelskich stóp się tloczy.  
Ta nie bila jeszcze w oczy,  
Kopułami złocistemi,



Ni hejnałem swym co rano,  
Nie budziła jeszcze ptaków,  
Była prostą i drewnianą,  
Jak wieś duża, bo nasz Kraków,  
Nie od razu zbudowano.  
Lecz już wówczas, naksztalt znaków,  
Co wskazują drogę chwały,  
Dwie Mogiły przy niej stały,  
Tylko jeszcze z pulchnój ziemi,  
Bo wszak bardzo to niedawno,  
Jak pokladli się pod niemi,  
Sławny ojciec, z córą sławną?

W mieście, wielkie zamieszanie.  
Ruch na brzegach, ruch na rzece,  
Znać, że są gdzieś blisko Wiece.  
Zgiełk ów, bawi niesłychanie  
Naszych wiejskich dwu chłopaków,  
Aż im w oczach świeci Kraków.

Już obeszli go w podziwiewie,  
I targ poszedł im szczęśliwie,  
Lecz niedosyć tego święta;  
Trzebaż jeszcze zajrzeć nieco,  
Tam, gdzie wszyscy hurmem lecą.  
Więc za miasto rzną chłopięta.  
Idą — idą — gdzie tłum płynie,  
Aż znaleźli się w dolinie,  
Co jest całkiem jak zaklęta.

☆

☆

☆

Z obu stron, cudaczne skały,  
Stadem legły, bok przy boku.

Głowy het pozadzierały,  
Chmurom stoją solą w oku.  
A poszycie łąk na stoku,  
Tak przelewną szumi trawą,  
Że w niej pływać można łódką.  
A na lewo i na prawo,  
Cały naród drzew, prościutko,  
Piąterkami głowy niesie,  
Jakby stawał las na lesie.

A z zieleni téj głębokiej,  
Wysuwają się opoki,  
Naksztalt gmachów albo strachów.  
Na nich wiszą ciemne bluszcze,  
A co kwiatków! Co zapachów!  
Ach, świat oddać za tę puszcę!

Nizéj, na dnie, Prądnik pluszcze.

Ej Prądniku, swawolniku!  
Co wyrabiasz ty za psoty?  
O co, po co, tyle krzyku?  
Ta dolina, raj pieszczoty,  
Kocha ciszę i marzenie,  
A ty na złość, niezmqczenie,  
Piany ciskasz jakby śmiechy —  
Głazy gryziesz jak orzechy —  
We pstrągowéj migasz lunie —  
Tęczę kradniesz, wód zwyczajem —  
A niech tylko deszczyk lunie,  
To już myślisz, żeś Dunajem.

. . . . .

Ale dziś, dolino śniąca!  
Nie sam Prądnik cię już budzi.



Oto całe morze ludzi,  
O twe brzegi się roztrąca.  
Pytasz: »Po co ten tłum płynie?«  
Chwała Bogu, nie dla bitwy.  
Jeśli płynie, to jedynie  
Ztąd, że naród, w tej dolinie,  
Obrął pole na gonitwy.

Jak wysoko, jak daleko,  
Sięgnąć okiem, tak czerwono,  
Po wiszarach ognie płoną.  
Ludzie siedzą, gwarzą, pieką,  
A przekupki noszą mleko,  
I jabłuszka, i gomółki,  
Same zwinne jak jaskółki.

Łatwo robić tu szalasy,  
Tylko ręką sięgnij w lasy.

Na kaździutkiój łączce malěj,  
Na kaździutkim zrębie skały,  
Pod namiotem — choćby z płaszczą —  
Kupka ludzi się rozgaszcza,  
I placówki swojej broni,  
Bo szturmują wielu do niěj.  
Dziś tu ziemia droga taka,  
Że niejeden, i kuraka,  
I barana już zamienia,  
Za sterczącą piędź kamienia,  
Gdzie rad, głodny się uczepli,  
Byle tylko widzieć lepiej.

A co pytań w oněj wrzawie,  
Kto tu stronę trzyma czyją?  
A jak oczy lśnią ciekawie!  
A jak serca mocno biją!

Niedziw, dzień stanowczy blisko.  
Wszak to jutro już igrzysko!

Już też wszystko w pogotowiu.  
Wyscigowa droga, nisko,  
Nad Prądnika srebrnym paskiem,  
Lśni jak taśma złotogłowi,  
Wysypana żółtym piaskiem,  
Ogrodzona przezroczyście,  
Plotem, zdobnym w kwiat i liście.

Ślup na głębi ją zakończy.  
Tam królewskie są znamiona:  
Plonie krasnym tłem, opończy —  
Wyżej, berło i korona.

A na drugim szranków końcu,  
Stoi Szopa, z drew klecona.  
Pod jej strzechą, jest ochrona,  
Przeciw gwarom, dżdżom, i słońcu.  
Nikt nie wchodzi do tej Szopy,  
Tylko sami zapaśnicy,  
Wszystko zdrowe, zgrabne chłopcy,  
Kwiat narodu, kwiat konnicy.

I tak, wrogie sobie rody,  
Los do jednej pchnął gospody.  
Tam pod jednym siedząc dachem,  
W myśli jadą już z rozmachem,  
I zwyczajką biorą wiechę.  
A tymczasem, na pociechę,  
Przegryzają smaczne kąski,  
Mózg cielęcą, skrzydło gąski,  
Popijają słodkie miody,  
I ciepłuchne piwo z jajem,  
Wielkie zbytki! Wielkie gody!



A choć wszyscy by się wzajem,  
Potopili w łyżce wody,  
Przecież kryją te niezgody,  
W najciemniejszej serca tajni,  
Jako ludzie obyczajni,  
I trzymając stół otwarty,  
Przy kielichach stroją żarty.

. . . . .  
Rzecz się tedy stała rzadka:  
Wedle mądrej rady dziadka,  
Wiec Prądnicki szedł jak z płatka,  
I tak szedłby do ostatka,  
Gdyby w oną sprawę całą,  
Samo Licho się nie wdało.

☆                      ☆  
                            ☆

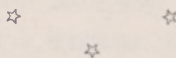
Ku dolinie, wieczór, pędem,  
Bieży deresz z krwawą strzałą,  
Otrzęsiony skrzącym rzędem.  
Na nim, jakby sowa, siedzi,  
Jeździec gruby choć niewielki;  
Oczy świecą jak węgielki,  
Broda gore jakby z miedzi.

Lud usuwa mu się cicho,  
Wpół olśniony jego pychą.  
Wówczas jeszcze, ludzie prości,  
Niewiedzieli, jakiej Licho,  
Jest upartej złośliwości.  
Dobroduszni czy łaskawi,  
Mieli taką dziwną wiarę,

Że choć stare, jak świat stare,  
Licho jeszcze się poprawi.

Gość zatrzymał się przy Szopie,  
Zsiadł i huknął: — »Dawać miodu!  
»I ja z wami gardło skropię,  
»I ja staję do zawodu!«

Całą beczkę wtoczyć każe.  
Pojaśniały w okół twarze.  
Wciąż powtarza jedne słowa:  
— »Jeszcze wypij! Jeszcze dolój!«  
Uczujących spoil w kolój,  
A sam trzeźwy. On coś knowa.



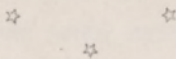
Właśnie wtedy Lew z Dobrotkiem,  
Ku dolinie się spuszczałi.  
Podziwiają słuł za plotkiem,  
Na koronę patrzą zdali;  
Od ogniska do ogniska,  
Ciagną cisi i zdumiali,  
Wszystko w oczach im się łyska,  
Wszystko w sercu im się pali.  
Gdzie człek jaki mówi stary,  
Tam słuchają. A gdy pomną,  
Jaką widzą rzecz ogromną,  
To aż chodzą po nich ciary.

Bo w takowym zacnym tłumie,  
Co nad sobą sam się głowi,  
I o sobie sam stanowi,  
Tam i prostak to rozumie,



Jak jest ważnym nieskończenie,  
Dzień, co przynieść ma krajowi,  
Nowe królów pokolenie.

Taka z losem gra drażniąca,  
Długiem echem w dziejach dzwoni.  
Wszak, pomimo lat tysiąca,  
My dziś jeszcze mówim o niej?



Już Noc idzie czarnowłosa,  
Sito kładzie na niebiosą,  
A przez sito leci rosa,  
A co rosą nie upadnie,  
To zostanie gwiazdką na dnie.  
Sen leciuchno świat opina,  
Jak cudowna pajęczyna,  
Która z rany ból odklina.  
Gasną ognie..... Śpi dolina.

Wtedy Licho, bez loskotu,  
Wyczolguje się z namiotu,  
Miga w szrankach naksztalt stracha,  
Cóż zasiewa, ręką macha,  
Zagrzebuje piasek nogą,  
I ogląda się ze trwogą.  
Czego boi się, i kogo?  
Nikt nie śledzi téj pokraki,  
Śpią ludziska jak bobaki.

Nasz Dobrotko, także w kątku,  
Głowę wsparł na zawiniątku,  
I śpi precz, — a sen ma taki:

Widzi cudne jakieś kraje,  
Gdzie już musiał być przed laty,  
Bo gdzie spojrzy, coś poznaje.....  
Koralowe ganków kraty —  
I te zdroje, co dno swoje,  
Mlékiem bielą, miodem złością —  
I woń słodką w traw powiewie —  
I odgłosy lir na drzewie.  
Ach, on był już przy tym śpiewie,  
Ale kiedy był, i po co,  
Żeby go kto zabił, niewie.

A tu przed nim, z wielką mocą  
Wśród ostrego brzęku, szczęku,  
Król się zjawia. Król, aż z dwiema  
Koronami, bo i w ręku,  
I na czole ma djadema.  
Zresztą, strojny po zwyczaju,  
W purpurzysku, w gronostaju,  
Wielko-głowy, ciemno-licy,  
Pan żelaznej tajemnicy.

Na ten widok, nazwa kraju,  
Dobrotkowi w myślach błyska.  
Śpiący, rzecze do zjawiska:

— »O Gwoźdżiku nieboszczyku,  
»Dziwów robisz ty bez liku!  
»Sam widziałem ciebie w trumnie,  
»A dziś gościem jesteś u mnie?  
»Czy wskrzeszono cię przez czary?  
»Czy się błąkasz w kształcie mary?  
»Czego dziadziu, trzeba tobie?  
»Tylko powiedz, a ja zrobię.«

Gwoźdżik z oczu cisnął żary,  
I te słowa, głosem kowa:



— »Stara prawda to na niebie,  
»Znana ludziom w starój bajdzie,  
»*Że co rzuci człek za siebie,*  
»*To przed sobą kiedyś znajdzie.*  
»O Dobrotku, ta korona,  
»Przez twą cnotę odrzucona,  
»Dziś pod nogi znów ci spadnie.  
»Ach, nie odrzuć jój dwa razy,  
»Lecz co każę, zrób dokładnie.  
»A przynoszę dwa rozkazy:

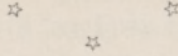
»Wstań, za płotek wejdz o brzasku,  
»I uważnie przepatrz drogę.  
»Jeśli znajdziesz tam co w piasku,  
»To wnet Sędziom daj przestrożę.

»Zrób i drugą rzecz niezwłocznie:  
»Gdy gonitwa się rozpocznie,  
»Ty goń także, choćby pieszki,  
»Nic się nie wstydz, pilnuj ścieżki,  
»Aż doleczisz między Leszki,  
»Bo tak wyższe chcą Wyroczenie.«

Zamilkł. Rysy mu się mącą —  
Zrzucił z siebie szkarłat płaszcz,  
Chwilę stał pod zbroją lśniącą.  
Potém głowa mu się splaszcz,  
Piers wydłuża, kadłub zwięża,  
Noga jedna w drugą wrasta,  
Cienka, czarna i spiczasta,  
Aż z całego tego męża,  
Stał się prosty kształt gwoździka,  
Z brzękiem upadł, i gdzieś znika.

Chłopiec ocknął się struchlały,  
A z wielkości swojej trwogi,

Poznał, że to głos przestrogi,  
Którą nieba mu zesłały.



Już i świta. Tłum się budzi.  
Na tle gór, ze strony obiej,  
Od przychodniów pstro się robi.  
Niknie las, pod lasem ludzi.

Wstał Dobrotko bardzo rano.  
Chciał przepatrzeć, jak sen każe,  
Drogę plotem ogradzaną,  
Lecz oszukał się w zamiarze.  
Nie puścili go tam strażę,  
I w dodatku go zfukano.

Więc na później rzecz odkłada,  
I tak mówi do sąsiada:  
— »Słuchaj Lwie: mnie się przyśniło,  
»Byśmy także spróbowali,  
»Kto z nas lepiej w pole wali,  
»Czy ja pędem, czy ty siłą?  
»Lećmy sobie też do słupa,  
»Ztąd zabawy będzie kupa.«

A Lew na to mu odpali:

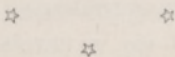
— »Co? Ty szcurku! Ty malusi!  
»Jakaż pycha ciebie kusi?  
»Twoich kroczków ze trzydzieści,  
»W moich trzech się dobrze zmieści.  
»Ale jeśliś na wstyd łasy,  
»To pójdziemy w te zapasy.



»Tylko stawiam za warunek,  
»By pobity, po wsze czasy,  
»Dla zwycięzcy miał szacunek,  
»Tak z nim gadał jak z tatulem,  
»I do śmierci zwał go *Królem*.«

Tamten mówi: — »Dobrze, duszo.  
»A więc już niedługuteczko,  
»Skoro tylko jezdni ruszą,  
»My ruszymy boczną steczką.«

Tak, figlując przy umowie,  
Już się bawią jak »królowie.«



A tymczasem już przy Szopie,  
Pełno koni ziemię kopie.  
Wszystkie idą z tego stada,  
Co je Krakus miał przed laty;  
Wszystkie maści są srokatéj,  
Mąż ów bowiem, jak wieść gada,  
Lubił rzeczy pstre dla oka,  
Na pamiątkę swego smoka.

Stają w rząd współzawodnicy.  
Każdy nosi przy szablicy,  
Tarczę wązką a długawą,  
Gdzie rodowe świecą godła.  
Poskoczyli w mig na siodła,  
Stoją w ciszy, jedną lawą,  
A krewniacy i sąsiady,  
Krażą przy nich, dają rady.

.....

Słońce złoci skal krawędzie,  
I pogody wróży wiele.  
A przed Szopą siadły Sędzie,  
Nasz staruszek na ich czele.  
Wziął fujarę z krętąj kory,  
I potrójne wygrał hasło.  
Jeszcze kończył, gdy coś trzasło,  
Roztworzyły się zapory.  
Potruchlała w ludziach dusza.....  
Konny hufiec ławą rusza,  
Wszyscy równi, wszyscy pierwsi —  
I jak gdyby kto rwał pokrzyk,  
Tak ze stu tysięcy piersi,  
Jeden wielki wzbil się okrzyk —  
Jeden okrzyk i pytanie:  
Kto tam w końcu pierwszy stanie?

. . . . .

Pędzą. Ława już się łamie,  
Już wydłuża krzywe ramię.

. . . . .

Mkną. Raz ten, raz ów na przedzie.  
Bardzo wszystkim to pociesza,  
Że ponury pan deresza,  
Gdzieś na szarym końcu jedzie.

. . . . .

Lecz już nikną — pył się wzmaga —  
Teraz, wszystko już skłębione.....  
I u widzów też, uwaga  
Skierowała się na stronę.



Co tam zwraca tyle oczu?  
Obrazeczek to ubogi:  
Na ścieżynce, na uboczu,  
Tuż około konnej drogi,  
Spostrzeżono wyścig pieszy.  
Kto się ściga? Dwa chłopaki!  
Na ten widok, w całej rzeszy,  
Zafalował ruch, i taki  
Głos uciechy, szczerzej, pustej,  
Tysiączeni trysnął usta,  
Że pod nagłą wrażeń zmianą,  
I o jezdnych zapomniano.

. . . . .

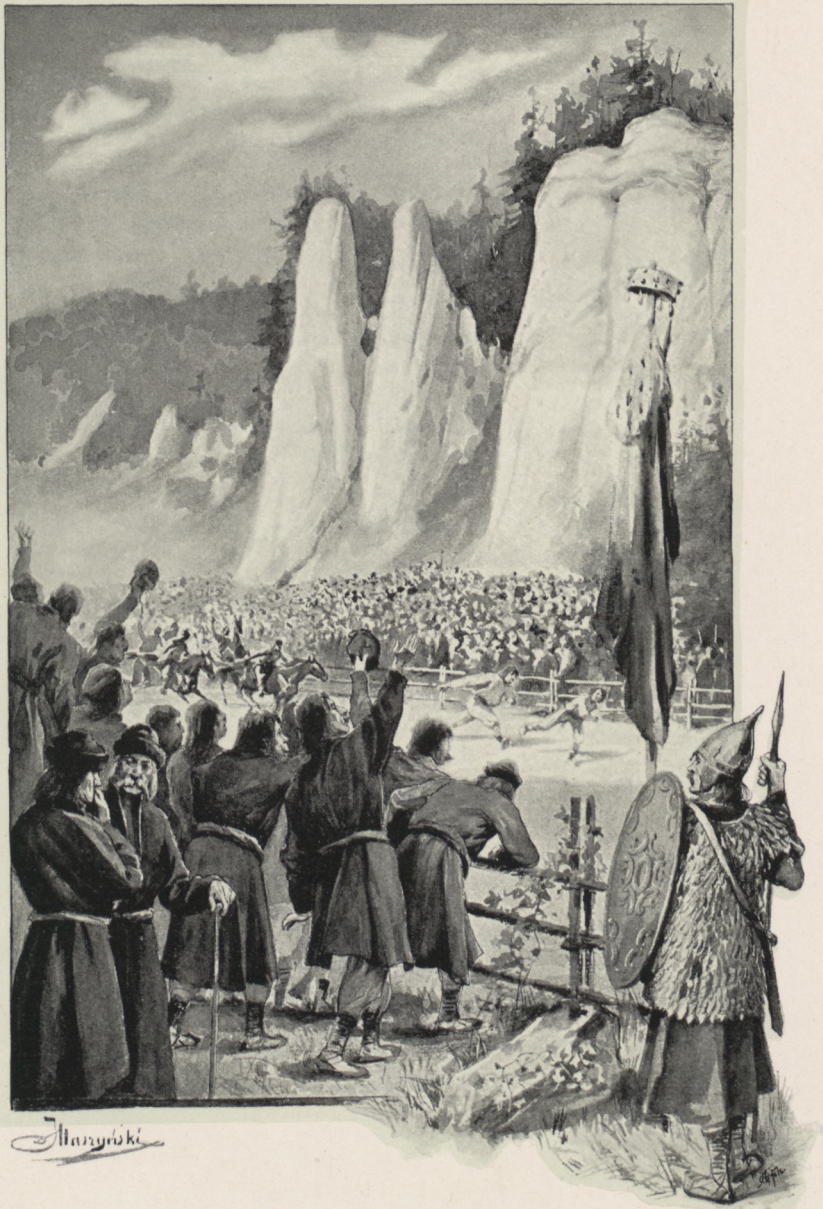
Tak to nieraz, wielkich rzeczy,  
Śmieszna czepia się drobnostka,  
I nie dojrzy wzrok człowieczy,  
Że dodana owa kostka,  
Ma najmilszą być graczowi,  
Gdyż o losach gry stanowi.

. . . . .

Śledząc ruchy pacholece,  
Ludzie kładą się od śmiechu.  
Tupią, skrzeczą, klaszczą w ręce,  
Podzégają do pośpiechu:

— »Dobrze chłopcy! Szczęsnej drogi!  
»A niechże ich, co za nogi!  
»O..... ten cienki jakby palec,  
»A toć to go wicher niesie!  
»A ty krępy, nie daj-że się!  
»Góram krępy! Góram malec!«





Haryński





Chłopcy słyszą te chichoty,  
I przybywa im ochoty.

Lew się stula niby kula,  
Pędzi pędem niepowszednim,  
Lecz Dobrotko zawsze przed nim,  
Tak w powietrzu lekko furka,  
Jakby nosił u nóg piórka.

Lew oburza się i dziwi,  
Że ktoś umie biedz szczęśliwiej.

Próżno krępak się szamoce,  
Nie wie on, że ów szczęśliwszy,  
W *Źródle życia* się obmywszy,  
Nadczłowiecze zyskał moce.

Lew już dyszy — krew go dusi —  
Aż zakrzyknął: — »Ojoj! Rety!«  
I Dobrotko, choć »malusi«,  
Pierwszy stawił się u mety.

. . . . .  
. . . . .

Dziwne takie rozwiązanie!  
Godne chwały. Lecz niestety,  
Prawie nikt nie zważał na nie,  
Bo już wszyscy w onę chwili,  
Znów na konnych się patrzyli.  
A patrzyli w ciężkiej trwodze.  
Straszne rzeczy się tam dzieją!  
Co wierzchowców jest, kolejają,  
Wszystkie płoszą się po drodze.  
Niechcą cwału, niechcą klusa —  
Dęba stają — potem zdradnie,



Wyrzucają nogi zadnie —  
A co który chce dać susa,  
To pośliznie się i padnie.  
Wszędzie rżenia, wszędzie kwiki,  
Jakby szalał tabun dziki.  
Jeźdźcy lecą im przez głowy,  
Łamią kości, kręcą szyje.  
Po dolinie, coraz nowy,  
Krzyk żałości w niebo bije.

Tylko rudy pan deresza,  
Sam nietknięty żadną kłeską,  
Coraz mocniej bieg przyspiesza,  
Aż się słupa tknął zwycięzko.

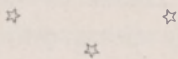
. . . . .

Wszyscy milczą, sposępniali.  
Nowy pan ich nie weseli.  
Tak, lecz wygrał, bez gadania.  
Więc się rzesza cicho kłania.

I Sędziowie marszczą twarze.  
Lecz cóż robić? Tak Los każe.  
Więc zwycięzcę milczkiem wiodą,  
Suknię kładą mu czerwoną,  
Czoło wienczę mu koroną,  
Poczem, jeźdźca z rudą brodą,  
Królem Leszkiem ogłoszono.

Król im ledwie kiwnął głową.  
W rękę, włócznię wziął berłową,  
I na lud swój spojrzal srogo.  
Stoją ludzie niby żaki,  
Pocieszają się jak mogą;  
Mówią sobie, że pan taki,

Choć w pokoju nie laskawy,  
To wojennej przyda sławy,  
Karność wznowi, ład zachowa,  
I tam dalej.... Wszystko, słowa,  
Których dźwiękiem, we złej chwili,  
Człowiek własną troskę myli.



Raz ruszony tłum, w rozpędzie,  
Aż za szranki się przepycha.  
Wszedł Dobrotko między Sędzie,  
Spojrzał, Cetno poznał zcicha.  
Za płaszcz ciągnie go nieśmiało,  
Ręką kiwa nań, i błaga:  
— »Ojczy.... chodźcie.... Czysta plaga!  
»Ani wiecie co się stało.«

Idzie Cetno za Dobrotkiem,  
I Sędziowie kupą całą,  
Przystanąli pod opłotkiem.  
Chłopiec kroczy samym środkiem.  
Kląkł, rozgarnął piasku nieco,  
A tam jakieś ostrza świecą....  
Ach, tam gwoździ jak nabito!  
Wyścigowe całe pole,  
Tak się jeży siejbą skrytą,  
Że ciekawych w stopy kole.

Zadumali się Sędziowie.  
Potem prawia: — »O pachole!  
»Masz ty olej w małej głowie.  
»Lecz nam powiedz należycie,  
»Zkąd ci przyszło to odkrycie?«



A Dobrotko im odpowie:

— »Nie odkrycie to niczyje,  
»Że ta ziemia gwoździe kryje.  
»Sam Król Gwoździk odkrył mi je.«

Bardzo wszystkim to zdumiało.

Cetno trzęsie brodą białą.

— »Teraz« — rzecze — »mię nie dziwi,  
»Czemu jeżdźcy nieszczęśliwi,  
»Nie powstałi już z tój drogi.  
»Ale deresz? Jakimż losem,  
»Nie obrazil sobie nogi?«

Chłopiec rzecze doń półglosem:

— »Ba! Tamtego, w życiu całém,  
»Żadna nie tknie się obraza,  
»Bo pan jego, jak widziałem,  
»Buty uszył mu z żelaza.«

Śmiech obudził temi słowy.

Lecz Dobrotka śmiech nie miesza.

Wiedzie Sędziów przed deresza.

Patrzą, co on ma? Podkowy!

U nas jeszcze, w owe wieki,

Konia podkuć nie umiano.

Pierwszy to, ów gość daleki,

Przywiózł sztukę tę nieznaną.

Co czarownik dziwów umie,

To w zamorskim wziął rozumie.

. . . . .

Na odkrycie tój niecnoty,

Wielkie stały się loskoty.

Krzyk potężny powstał w tłumie:  
— »A to czary! Czyn zły wiary!  
»Precz oszusty! Tron znów pusty!«

Gmin się burzy, gmin się klóci,  
A na domiar gniewnej chuci,  
Podżegają go mściciele,  
Krewni, wdowy, przyjaciele,  
Tych, co leżą tam pokłuci.

Aż tłum cały, jak się rzuci,  
Tak monarcha, co w namiocie,  
Już zasiadał do kieliszka,  
Wstał, i z góry, głów tych krocie,  
Zmierzył wzrokiem bazyliczka.  
Lecz gdy stu-tysięczne usta  
Zahuczały, zbladł jak chusta.

O, bo lud, gdy się rozsroża,  
Straszny jest, jako gniew morza.

Daléj, brodę rwać miedzianą!  
Próżno modli się i broni —  
Wzięto Xięcia, przywiązano,  
Aż do czterech dzikich koni,  
I trzaśnięto ze stu biczy.....  
Huzia, cugu tajemniczy!

Konie lecą jak szalone,  
Každy ciągnie w inną stronę,  
A skazaniec jęczy, krzyczy.

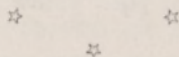
Lecz nie bójcie się o niego.  
Czarownika czarci strzegą.



Jak uderzy łbem o ziemię,  
Tak już wiedział czego dopnie:  
Zbudził zwierza co w nim drzemie,  
I koń czarny, zły okropnie,  
Stał się z niego. Mknie Xiążątko,  
Już nie czwórka, ale piątka.

A znów potém, jak się kopnie,  
Tak i zerwał wszystkie pęta,  
I już czwórka, rozprzęgnięta!

Konie pierzchły przerażone,  
Každy w inną świata stronę,  
A zaś Licho, piątym koniem,  
Poszło sobie gdzieś ustroniem,  
Smyk, na bory i na lasy —  
I już potém, długie czasy,  
Nie słyszano u nas o niem.



A tymczasem, u Prądnika,  
Ciżba skarży się stroskana:  
— »I tak, znów nie mamy pana!  
»Jakoś Los nam się wymyka.....«

Lecz niedługo trwają żale.  
Oto zjawia się na skale,  
Nasz staruszek miło-licy.  
Chłopca stawia tuż przy sobie,  
I podnosząc ręce obie,  
Wola ztamtąd jak z mownicy:

— »Nie! Los wcale nie jest niemy.  
»Owszem, gada bardzo jasno.  
»Jeśli nic nie zrozumiemy,  
»To już mamy głowę ciasną.

»Więcej ludzi tu biegalo,  
»Niżli Sędzia ich laskawie,



»Zakarbował na swój ławie.  
»Bo ja do nich wliczam śmiało,  
»I dwa owe młodzieniaszki,  
»Co goniły dla igraszki.

»Z biegających onych wielu,  
»Tylko dwóch dopadło celu.

»Jeden, zdradą chciał zdobyczy,  
»Więc w rachunek się nie liczy.



»Drugi, jest-to ten chłopczyna,  
»Co się sam nie przypomina,  
»Owszem, wstydzi nam się oto.....  
»Ze wszech dusz, najpokorniejsza!  
»Wprawdzie biegł on piechotą,  
»Lecz wygranęj to nie zmniejsza,  
»Bo jak myślę, tron wasz czeka,  
»Nie kobyłkę, jeno czleka.

»Niech go naród nie odpycha,  
»On od Niebios mu sądzony!  
»Za to samo wart korony,  
»Że nam odkrył podstęp Licha.

»A gdy jeszcze wam coś powiem,  
»O tém dziwném dziecku wdowiem,  
»Przystaniecie tém ochotnięj.  
»On mężniejszy niż wojaki,  
»On mądrzejszy niż pismaki,  
»Bo czy wiecie wy, na jakiej  
»On był górze? Na *Sobotnięj!*«

Słyszac rzecz tak niepojętą,  
Ludzie usta roztworzyli,  
I Dobrotka w téjże chwili,  
Leszkiem Wtórym okrzyknięto.

Cetno głaszcze brodę białą,  
I tak mówi: — »Nie żał trudu,  
»Gdy do pary się dobrało,  
»Serce wodza z sercem ludu.

»Mnie, czas lecié w inne kraje,  
»Gdzie znów Licho wzniesi zwady  
»Wam już tylko pozostaje,

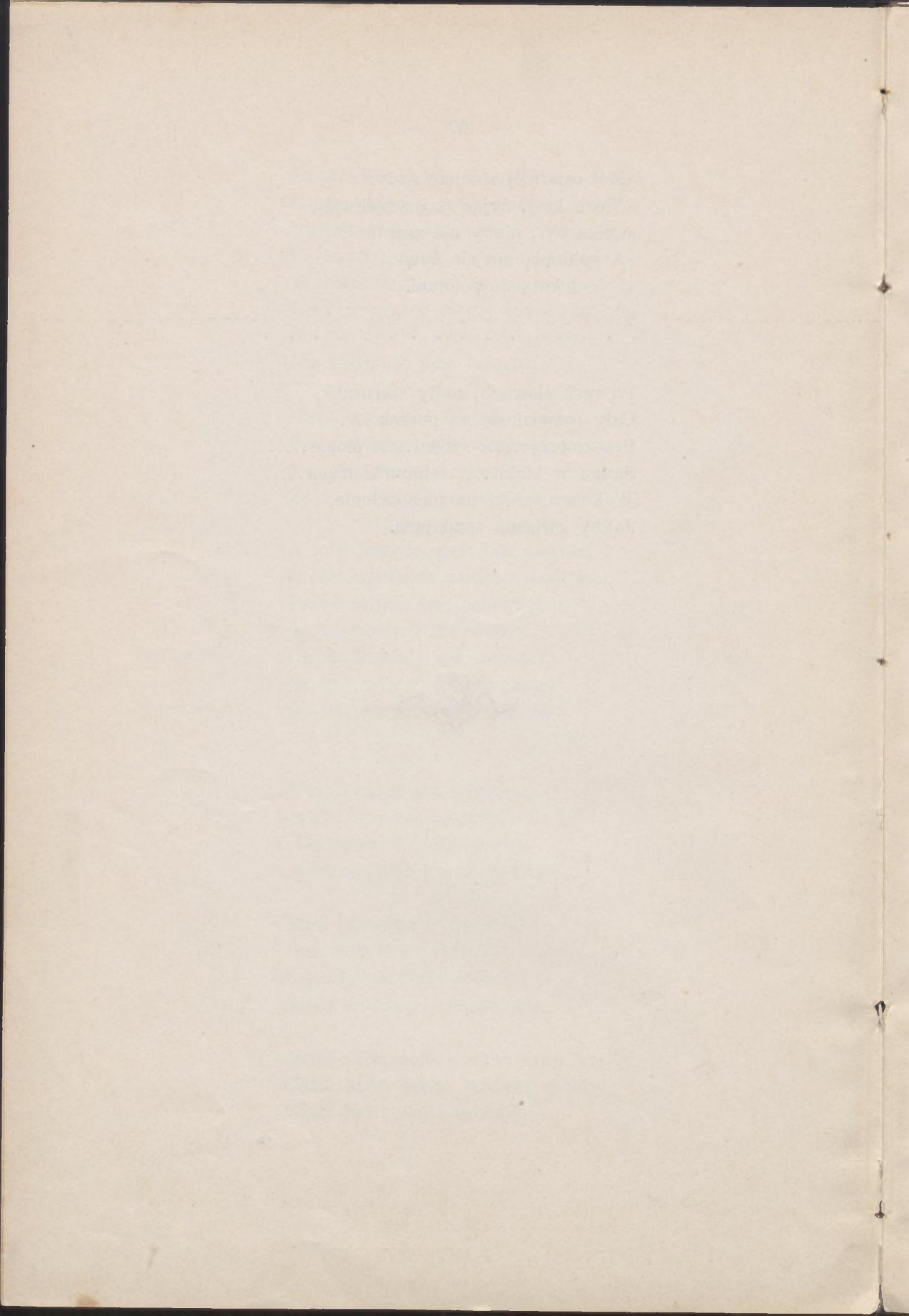
»Mój ostatniej słuchać rady:  
»Niech król, żyjąc najszczęśliwiej,  
»Czém był, nigdy nie zapomni,  
»A poklonią mu się żywi,  
»I pochwalą go potomni.«

.....

Po tych słowach, mdły staruszek,  
Cały rozwiął się na puszek.....  
Przezroczeje..... świeci..... płonie.....  
Śmiga w błękit..... chmurki trąca.....  
W końcu, znikł na nieboskłonie,  
Jakby gwiazda spadająca.



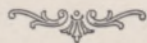




CZĘŚĆ TRZECIA.



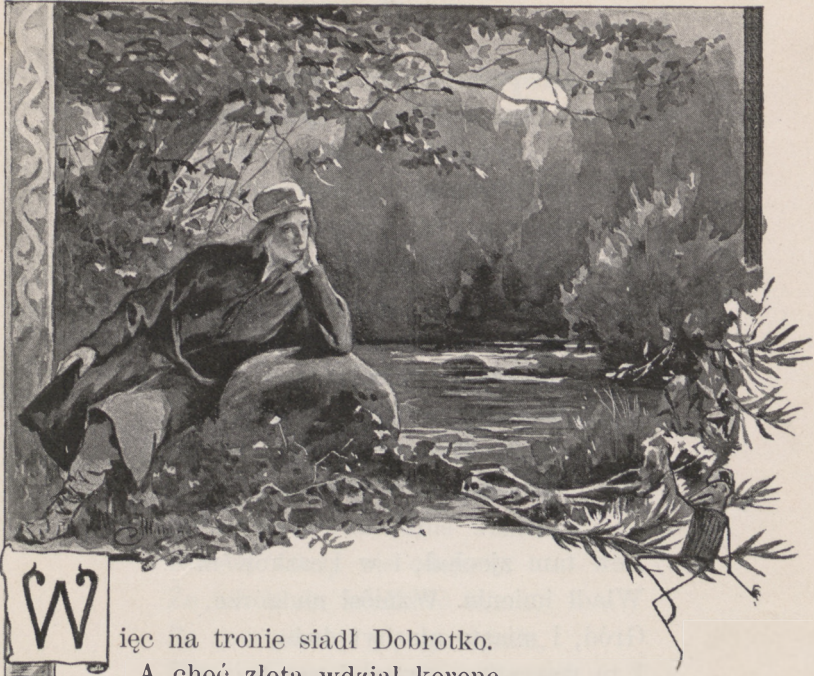
O SMOKU I O SUKMANIE.





CZĘŚĆ TRZECIA.

0 2MOKU I 0 SUKMANIJE



W

ięc na tronie siadł Dobrotko.  
A choć złotą wdział koronę,  
Przecie serce w nim jak zlotko,  
Pozostało niezmienione.

A tak wielkiej go pokory,  
Nabawilo mądre Cetno,  
Że gdy ucztę sprawiał świetną,  
Gdy z urzędu brał ubiory,  
Gęsto czerwcem farbowane,  
I od samych gwiazd jaskrawsze,  
To przed sobą kazał zawsze,  
Swoją starą kłaść sukmanę.

Zdarta ona i pomięta,  
Widok jęj, zbytncy ganią.  
Lecz król czasem spojrzny na nią,  
I już wnet, czém był, pamięta.

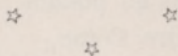
Co dziwniejsze jeszcze może,  
To że król ten się nie sroma,



Gdy go spotka twarz znajoma,  
Co mu przeszłość wytknąć może.

Lwa przytrzymał na swym dworze,  
A dojrzawszy, że w rozumie,  
Nikt prześcignąć go nie umie,  
Zamianował go Żupanem,  
Tęj Czerwieńskiej ślicznej ziemi,  
Która płynie jednym łańcem,  
Przepasana modrym Sanem,  
Aż do Karpat, za którymi,  
Już mieszkają ludzie niemi.

Lew tam zjechał, i w Leszkowém  
Władł imieniu. Wzniósł na górze,  
Gród, i miasto niezbyt duże,  
I to wszystko nazwał Lwowem,  
A ów mały gródek, z laty,  
Stał się sławny i bogaty.



Król tymczasem, jadąc lasem,  
Swoich drogich wiezie z chatki,  
Do zamczyska, gdzie dla matki,  
Przygotował trzy komnatki,  
Obwieszane pstrym kilimkiem,  
Wykadzone wonnym dymkiem.  
Nic nie brakło dla mieszkanki;  
Miała pościel z gęsich puchów,  
Misy kraśne jak pisanki,  
Sto fartuchów, sto rańtuchów,  
Pyszne futro z ciepłym pasem,  
Do zabawy, kwiatki, rybki,

Do słuchania, flety, skrzypki,  
A gdy sobie przędła czasem,  
To, jak trzeba dla królowej,  
Na kądziałce — bursztynowej.

Dla każdego także brata,  
Była w zamku tym komnata,  
Przystrojona znamienicie.  
Mogli wieść tam święte życie.  
A tymczasem, bez pobudki,  
Posmutnieli. Czy te smutki,  
Były uczuć złych oznaką?  
Rzecz niepewna. Mnie wszelako,  
Nic téj wiary nie odejmie,  
Że ich kłula wielkość brata,  
Bo rozstawszy się uprzejmie,  
Pojechali na kraj świata.

Junak, jako wieść nam gwarzy,  
Obcych trzymał się mocarzy,  
Brać w turniejach dank laurowy,  
Damom precz zawracał głowy,  
Mężów lajał gdzie się zdarzy,  
I wysadzał ich ze strzemion,  
Jeździł nawet na tygrysie,  
Tak, że w pośród dzikich plemion,  
Dotąd o nim ludziom śni się.

Mądrał znowu, jak wieść szerzy,  
W puszczy zamknął się na wieży,  
Któręj znaleźć nikt nie zdoła.  
Tam słuchając gwiazd rozmowy,  
Susząc ziola, krésłąc koła,  
Szukał tajemnicy owéj,  
Co ma świat odrodzić cały.  
Jeśli cisza i nauka,



Jego dni poprzedłużały,  
Może jeszcze dotąd szuka?



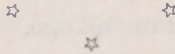
A Dobrotko, jak z początku,  
Tak i w dalszym życia wątku,  
Swemi rządy sprawił tyle,  
Że go ludzie pomną mile.  
Nędzę z Biedą, złe babsztyle,  
Wygnał zewsząd, bez wyjątku.  
Przy nim Cnota i Zasługa,  
Nie siedziały smutno w kątku.  
Górami pierwsza! Górą drugą!  
I kraj przywiódł do porządku.

Rzadki to był czas na świecie,  
Bo nietylko zdał się błogim,  
I bogaczom i ubogim,  
I mężczyźni i kobiecie,  
I starcowi i dziecięciu,  
Lecz roślinie i zwierzęciu,  
Złote przyniósł wielolecie.

Nikt przez dzień caluteneczki,  
Wółu nie gnał do roboty,  
Nieśmiały zbytnio strzydz owieczki,  
Ani łamać drzew dla psoty.

To też ziemia sprawiedliwa,  
Dwa na rok dawała żniwa,  
A bydłatka, w lekkim trudzie,  
Zgadywały myśl z oblicza,  
Tak, że czasów owych ludzie,  
Zapomnieli kształtu bicia.

Król był ojcem, co się zowie.  
I któż godnie go wychwali?  
Dość powiedzieć, że ziomkowie,  
Leszkiem *Dobrym* go nazwali.



I cóż, kiedy na tój ziemi,  
Żadna radość ni potęga,  
Swojej pełni nie dosięga?  
Król żył między szczęśliwemi,  
Wszystkim rozdał złotą dolę,  
A sam, chmurkę miał na czole.

Jak pod korą drzewa, skrycie,  
Robak toczy rdzeń i życie,  
Tak żal jakiś, czy tęsknota,  
Czy też troska, czy zgryzota,  
Niepojęta, niezbadana,  
Wyżerała pierś młodziana.

Czasem, w chwili gdy się śmieje,  
Łzy mu nagle wzrok zasuną.  
Czasem wieczór idzie w knieje,  
Pod miesięczną siada luną,  
Przy strumieniu kwili zcicha,  
I niewiedzić za czém wzdycha.

Jest-to rzecz niezawodząca,  
Że kto gada do miesiąca,  
Ten przez jego wpływ cudacki,  
Przywidzenia różne miewa.  
I królowi, w czas przechadzki,  
Wciąż się zdaje, że z za drzewa



Któs wygląda, jak z zasadzki.  
Jest-to któs o twarzy wązkiej.  
Chrzęści liściem, rwie gałązki,  
Fika w rowie, zmyka drogą,  
I królowi znaki daje.  
Lecz gdy król przetrząsa gaje,  
Nieznajduje tam nikogo.

Więc Dobrotko sobie laje:  
-- »Cóż to znowu? Czy mam bzika?  
»Czy trafiłem na Chochlika?  
»Ach! Za wiele myślę o niej,  
»O téj mojej, a nie mojej,  
»Ztąd mi wiecznie w uszach dzwoni,  
»Wiecznie w oczach mi się troi.«

Tu powstawszy od strumyka,  
Zwraca kroki do zameczyska,  
Co z Wawelu dach wytyka.  
Spodem, Wisła od gwiazd łyska.  
A na sali, u ogniska,  
Szepeą pany i dworzany:  
-- »Oto wraca król dobrodziej,  
»Ale jakoś mu nie słodzić.....  
»Ha! Już chyba zakochany!«

Gdy raz padło takie słówko,  
Wnet zań każdy przysiadz gotów.  
Rozwichrzony tą zamówką,  
Dwór zaszumiał od zalotów.

Oj, niejedna tam dziewczyna,  
Pęki róż we włosy wpina,  
W kubał wody potém zerka,  
I tak mówi do lusterka:

— »Może ja to ta osoba,  
»Co królowi się podoba?«

Ale więdnie kwiat różany,  
Więdną wszystkie serc nadzieje.....  
Król nie idzie z żadną w tany,  
Król do żadnej się nie śmieje.

. . . . .  
Więc kraj stał się pelen smutku,  
I mówiono po cichutku,  
Że król kocha, nieznajomą  
Dziwożonę, czy téż Wilę,  
Których miłość, jak wiadomo,  
Jest nad wszelką ludzką siłę,  
I prowadzi pod mogiłę.

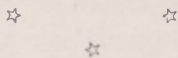
Gdy odeszły białogłowy,  
Nawołano wiec grajkowy,  
I gęślarze w krąg stanęli.  
Každy trąca dźwięczne denko,  
W téj nadziei, że piosenką,  
Serce króla rozweseli.  
Struny brzęczą jakby pszczoły,  
Pieśni lecą jak sokoły,  
A król ciągle — niewesoły.

Gdy rozeszli się gęślarze,  
Matka schodzi na próg syna.  
Pyta, błaga, i zaklina,  
A nakoniec jawnie każe,  
Z całej duszy, z całej woli,  
By powiedział, co go boli?



Król przestraszył się jak dziecię,  
Nic nie wspomniał o zagadce.  
On każdemu ją na świecie,  
Prędzej wyzna niżli matce,  
Gdyżby musiał wyznać razem,  
Że z miłości to synowskiej,  
Tęj okrutnej nabył troski.

Więc się cofa przed rozkazem,  
I tak mówi do matysi:  
— »Jak złe przyszło, tak i minie.  
»Urok jakiś to być musi,  
»Ale ja go sam odczynię,  
»I to zaraz, w tej godzinie.  
»Przy biesiadzie i zabawie,  
»Jeszcze dzisiaj się poprawię.«



Tu, na służbę w ręce kłaśnie.  
— »Gości!« — Woła. — »Stoly wnoście!«  
A że lato grzeje właśnie,  
Więc dla chłodu, schodzą goście,  
Pod krużganek różnowzory,  
Gdzie wiązania i podpory,  
Są z brzeziny bialo-korój.  
Stół nakryto w tej przezroczy.  
Stu pachółków niesie strawę.  
Król najwyższą bierze ławę.  
A przed królem, prosto w oczy,  
Na poręczy od krużganka,  
Wisi sukno jakies bure.  
Ach, to wążka ta sukmanka,  
Którą nosił tego ranka,

Kiedy wody chcąc do dzbanka,  
Na *Sobotnią* poszedł Górę.

Pachnie uczta zawieszona.  
W koło gwarzy osób trzysta.  
W ręce klaszczą, w kubki dzwonią.  
Król się wspiera białą dłonią,  
Do uśmiechu się przymusza,  
Ale niechce tknąć puharu.  
Oj, widocznie jego dusza,  
Nie odkłęta jeszcze z czaru!

Gdy gospodarz jé tak mało,  
Wszystkim jeść się odechciało,  
I skończyła się biesiada.  
Goście wstają. Służba wpada,  
Sprząta misy malowane.  
Skinął król i na pacholka,  
Co pod strażą ma sukmanę.  
Ten przyskoczył, zdjął ją z kolka,  
Lecz nim zamknął na nią skrzynkę,  
Dojrzał pyłu odrobinę,  
I jak zaczął trząść sukmanę,  
Tak niezwykłą rzecz ujrzano:  
Cós wypadło z jéj kieszonek,  
I zabrzękło jakby dzwonek.

Patrzą goście, a tu w piasku,  
Leży kluczyk. Żywe złoto!  
I takiego pełen blasku,  
Jakby duchów był robotą.

Król go podniósł zadziwiony,  
Jął oglądać z każdéj strony,  
I uwagę nad nim czyni:



— »On takutki jest samiutki,  
»Jak ten złoty klucz od kłódki,  
»Co to brzęczał mi w jaskini....«

Jeszcze mówi, kiedy z góry,  
Cóż zawiało, zaszumiało,  
I cień zaszedł jak od chmury,  
Na Zamkową przestrzeń całą.

Wnet się wszystkie wznoszą głowy,  
Przestrach bije ze wszech oczu.  
Co tam leci w podobłoczu?  
Co tam leci? Smok tęczowy!

Oj, nielada to potworek!  
Grzebieniastą ma koronę —  
W ślępiach, koła dwa zielone —  
Ogon kręty jak faworek —  
Pstre podbrzusze — krwawą paszczę —  
Błony skrzydeł jak dwa płaszcze —  
A na twardym grzbiecie z łusek,  
Siodło miękkie jak całusek,  
Purpurowe, i niepodle  
Złotem szyte.

A na siodle,  
Z brylantowym półksiężcem,  
Który świeci nad jej licem,  
Z rączętami do pieszczoty,  
Zakutemi w łańcuch złoty,  
Z długorzęsém, czarném oczkiem,  
Niespłoszona owym smoczkiem,  
Wykręcona ślicznie boczkim,  
Jedzie panna, jakby wiosna,  
Piękna, strojna, i radosna.









A na szyi smoka, Dydko  
Siedzi, nóżki zwija płytko,  
I powozi jedną nitką,  
I potrząsa szklaną kitką,  
I czapeczką w krąg się kłania,  
Wszystko nie bez podróżniania.

Wśród ogólnej, niemój trwogi,  
Smok opuszczał się ze świstem,  
Przed królewskie śmignął progi,  
Siadł, i tchnieniem ział ognistém.

Dydko skoczył na podwórko,  
Pannę porwał niby piórko,  
Zapłonioną jak poranek,  
Przeprowadza przez krużganek,  
Wita króla, i tak rzecze:

— *»Co z ofiary się odwlecze,  
»To w półrocze, czy w półwiecze,  
»Przed nagrodą nie uciecze.  
»Miłość wasza tajemnicza,  
»Niech w dozgonne przejdzie śluby,  
»Gdyż dla panny i panicza,  
»Już się kończą wszystkie próby,  
»Których jam był wykonawcą.*

*»Panicz cierpiał przez ofiarę,  
»A co panna, to za karę.  
»Bo wiedz królu, mój laskawco,  
»Że Ślicznotka, ta królewna,  
»Takie ciche dziś nieboże,  
»Na ojcowskim żyjąc dworze,  
»Była sroga. To rzecz pewna,  
»Że nikt sroższym być nie może.*



»Stu Wezyrów, i Emirów,  
»I przeróżnych bohaterów,  
»Utraciło głowę dla niej.  
»Biegli w świat jak opętani,  
»Zdobywali dla téj Pani,  
»Co jój trzeba, i nie trzeba,  
»Węże morskie o pstrój skórze,  
»Białe lwy, błękitne róże,  
»Nawet pono gwiazdki z nieba.

»A królewna, co? Koleją,  
»Złudną pasła ich nadzieją,  
»A gdy w strawie téj, smakosze,  
»Już rozjedli się po trosze,  
»Paf! Dawała im odkosze.

»Więc się jedni potopili,  
»Drudzy, naksztalt mdłych motyli,  
»Szli na miecz co ich przespili,  
»Inni bledli, schli jak strzygi,  
»I tak marli na wyścigi,  
»A królewna w owój chwili,  
»Przegryzając słodkie figi,  
»Sucho-oka, skamieniała,  
»Jeszcze z nich się naśmiewała.

»Aż téż Wróżki rozgniewane,  
»Roztworzywszy chmurną ścianę,  
»Zawołały mię przed siebie.  
»(Jak wiesz królu, te istoty,  
»Mają pałac ze mgły złotój,  
»Nie na ziemi, nie na niebie,  
»Lecz w tym kraju, żadnym prawie,  
»Co się ludziom śni na jawie.)

»Gdy ukląkłem u podnóżka,  
»Rzekły do mnie w ciężkim gniewie:

» — Czy Ślicznotka niby niewie,  
» Że niewolno ziemskiej dziewie,  
» Być tak dumną jakby Wróżka?  
» Włóż jej łańcuch w mgnieniu oka,  
» Siadaj razem z nią na smoka,  
» I do Góry leć *Sobotniój*.  
» Tam niech żyje najsamotniój,  
» W lochu westchnień, u fontanny,  
» Z lez wylanych dla tój panny.  
» Niechaj w pustce, niechaj w ciszy,  
» Widzi młodych towarzyszy,  
» Których pędzi tam odwaga,  
» Niech o litość wszystkich błaga,  
» I odmowę zawsze słyszy.

» A jeżeli-by z nich który,  
» Śmiał przystanąć na wpół góry,  
» I zawołać: — O ty miła!  
» Niech się zaraz w kamień zmienia,  
» By królewna zobaczyła,  
» Jak to pięknie być z kamienia.

» Na tak twarde rozkazanie,  
» Odpałilem niemieszkanie:

» — A mnie po co mścić Emirów?  
» Poszukajcie innych zbirów.  
» Ja nie lubię dręczyć kogo. —  
» I wzdrgałem się ze trwogą.  
» Ale Wróżki wszystko mogą.  
» Mimo różnych moich sztuczek,  
» Wynałazły na mnie kruczek.

» Za morzami, za siedmioma,  
» Jest kraina nieznanajoma,  
» Gdzie wyrasta złota słoma.



»Obiecały Dobre Wróżki,  
»Że gdy spełnię czyn wiadomy,  
»To z cudownej owiej słomy,  
»Zrobią dla mnie nowe nóżki.  
»Obiecały — pokazały,  
»Jedną taką słomkę złotą.  
»Dla nagrody tak wspaniałej,  
»Któż nie przystał-by z ochotą?

»Popłakawszy tedy sobie,  
»Odpowiadam: — A no, zrobię,  
»Co się żywnie wam podoba.

»A już Wróżki lecą duchem,  
»I przynoszą klucz z łańcuchem.  
»Złote oba, dziwne oba,  
»Gdyż w nich leży czar takowy,  
»Czy zakłęcie, że osoba,  
»Która nosi te okowy,  
»Temu staje przed oczyma,  
»Co w prawicy klucz ten trzyma.

»Biorę kluczyk, — widzę pannę,  
»Jak przechadza się w ogródku,  
»Nieznająca jeszcze smutku;  
»Śmiechy, chichy nieustanne.  
»Tedy płacząc ją okulem,  
»(Bom się rodził z sercem czulém),  
»Smok nas uniósł, i pod skałą,  
»Długo miałem ją w mej pieczy.  
»Lecz inaczej poszły rzeczy,  
»Niż się Wróżkom wydawało.

»Mimo strachu, mimo pustek,  
»Mimo ciężkich pęt na ręku,  
»Nie pisnęła. Nikt z jej ustek,  
»Nie posłyszał skarg ni jęku.

»A choć wielu szło tam drogą,  
»Nie wstawała do nikogo,  
»Nie błagała o ratunek,  
»Nie spojrziała na przechodnie,  
»I stawiała się tak godnie,  
»Że mię dla niej wziął szacunek.

»Ale za to młodziankowie,  
»Przystawali nieproszenie,  
»Zawracało im się w głowie,  
»I zmieniali się w kamienie.

»Aż dopiero tego ranka,  
»Gdy stanąłeś ty w jaskini, —  
»(Niech królowna Jejmościanka,  
»Próżno znaków mi nie czyni,  
»Bo com widział, to i powiem —)  
»Ta, co dawniej, skamieniała,  
»Wezyrami pomiatała,  
»Przed ubogiem dzieckiem wdowiem,  
»Zapłonila się jak róża,  
»Poderwała się jak burza,  
»Błysła oczkiem które piecze,  
»I prosiła o ratunek.  
»A ty królu, dziwny czlecze,  
»Zamiast dać jój pocałunek,  
»I rozerwać jój okowy,  
»I mnie zrzucić z góry owój,  
»Nie postalesz nawet przy niej,  
»I ucieklesz precz z jaskini.

»Wtedy rzekłem: — Niema rady,  
»To już cnota jest za wielka!  
»I pobiegłem w twoje ślady,  
»I splatałem ci figielka.



»Bom dopóty, muszym ruchem,  
»Latał, brzęczał ci nad uchem,  
»Ażem klucz zaczarowany,  
»Wsunął w kieszeń twój sukmany.

»Wracam wesół, kiwam zdala.  
»A tu panna się wyżala:

» — Źle to zawsze mieć pokorę!  
»Ja raz pierwszy w życiu proszę,  
»I raz pierwszy kosza biorę!  
»To za wszystkie moje kosze!  
»Co się stało w jeden ranek?  
»Ja, lzy ronię? Ja, się boję?  
»Czemu odszedł ten młodzianek?  
»Źle wybrało serce moje!«

»A ja znowu tak ją koję:  
» — Owszem panno, serce twoje,  
»Nie zmyliło się w wyborze.  
»Ten wart ciebie, tego lubię,  
»Kto na dowód męztwa w próbie,  
»Nawet ciebie zrzec się może.

»Tak mówilem dla pociechy,  
»Ale był to groch na ścianę.  
»Odcierpiałoż za swe grzechy,  
»To serduszko zakochane!  
»Owa dumna i zuchwała,  
»Teraz dziwnie spokorniała,  
»I mówiła bez ustanku,  
»O młodzianku i o dzbanku,  
»I z perłowych lez téj panny,  
»Stał się drugi słup fontanny.

»Aż nakoniec, zdjął mię rzewny  
»Żal, nad losem téj królewny.

»Obiecawszy tedy sobie,  
»Że takowe rzeczy zrobię,  
»Z których szczęście się ułoży  
»Wyleciałem na świat boży.

»Wracam z wieścią niesłychaną.

» — Słuchaj panno! Szykuj wiano!  
»I niech serce ci wyskoczy!  
»Jam na własne widział oczy,  
»Jak go ukoronowano!  
»Warto czekać, choćby z bólem,  
»By milego znaleźć królem.

»A tu panna w płacz.

— Tém gorzej!

»Gdy do strojów ponawyka,  
»To sukmany już nie włoży,  
»I nie znajdzie już kluczyka.  
»Już go nigdy nie zobaczę!

»I królewna znów mi płacze.

»Ciagle słysząc że: — Tém gorzej!  
»Znowu lecę na świat boży.  
»Wieczór skradam się pod Kraków.  
»A że moc zaczarowania,  
»Gadać z tobą mi zabrania,  
»Więc używam niemych znaków,  
»Pokazuję ci kieszenie,  
»Fikam, brykam niestrudzenie,  
»Wzywam, kiwam, aż do zbytku,  
»I to wszystko bez pożytku!«

— »A któż wiedział cię, mój Dydku?« —  
Król wymawia się nieśmiało.



— »Ha no! Niema już ubytku,  
»Kiedy w końcu się udało.«

Tu do panny zwrócił głowę,  
Podniósł oczy szafirowe,  
Ale moc zaczarowania,  
Jeszcze mówić mu zabrania,  
Więc się tylko ślicznie kłania,  
Cały mieni się jak tęcza,  
I królownie kluczyk wręcza.

Ta, roztwiera złotą kłódkę,  
Potrząsnęła białą ręką,  
Gdzie łańcuszek, długą męką,  
Różowawą wrył obwódkę,  
Wpół radosna, wpół zmieszana,  
Kładzie rękę w dłoń młodziana,  
I powiada: — »Nie królowi,  
»Ale tobie, synu wdowi!«

. . . . .

Dydko żegna ich oboje:  
— »Żyćcie sobie, Państwo Młode,  
»Na pomyslność i na zgodę.  
»Mnie, czas dążyć po nagrodę.  
»Bo nożyny też już moje,  
»Tak się zdarły od dreptania,  
»Że uszedłszy milkę drogi,  
»Tobym chyba, twór beznogi,  
»Musiał taczać się jak bania.  
»Lecz odbiorę ja mój dłużek,  
»I dziś jeszcze, w kraju Wrózek,  
»Będzie ze mnie Złotonózek!«

Powiedziawszy, w krąg się kłania.  
Siadł na ruděj szyi smoczěj,

Sprytnie mrugnął im powieką,  
I poleciał tak daleko,  
Że nieprędko go kto zoczy.

.....



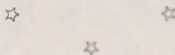
A tu właśnie, matka króla,  
Słyszy z okna tę rozmowę,  
Schodzi, woła: — »Mam synowę!«  
I do serca ją przytula.

Setka gońców konie trudzi.  
Zapraszają gości wiele,



Bo i ludzi, i nie ludzi.  
I wyprawil król wesele.

A wesele było takiem,  
Jak się tylko śni niekiedy.  
Mówią nawet, że to wtedy,  
Tańcowała ryba z rakiem.



Król z małżonką, w grach i śpiewie,  
Żyli zgodnie, że aż miło.  
Jedno tylko ją martwiło:  
Że nie ojciec o niej niewie.

Wyprawiono mądre posły,  
Aby świat obiegłszy cały,  
Ojca tego wyszukały,  
I o córce mu doniosły.

Król, trzy dary słał dla teścia:  
Beczek sto Bocheńskiej soli —  
Starych miodów skrzyń dwadzieścia —  
I czterdzieści par soboli.

Jadą Posły ku wschodowi.  
Przez okropne płyną morza,  
Gdzie cudaki człowiek łowi.  
Przez pustynie i bezdroża,  
Ciagną, wio! na polskiej bryce.  
Aż po całych siedmiu latach,  
Zajeżdżają przed stolicę,  
Która siedzi w samych kwiatach.

Tam w pałacu, czy świątyni,  
Mieszkał Sultan, co miał lice,  
Orzechowe, kształtu dyni.  
Gdy wychodził, to murzyni,  
W złotój nieśli go lektyce.

Choć milczący był jak Turek,  
I piędziesiąt liczył córek,  
Ucieszyła go nowina,  
Że i tamta nie przepadła.

Kazał Posłom podać jadła.  
Rzecz do smaku im przypadła,  
Bo to była baranina,  
Z kupą ryżu, kupą sadła.  
Za to w picciu, rozkosz zbladła.  
Nie dał piwa, nie dał wina,  
Tylko jakiś napój cienki,  
Z fjołków, róż, i heljotropów,  
Napój dobry dla panienki,  
Lecz u licha, nie dla chłopów.

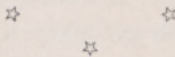
Byli z drogi pół-zmartwiali,  
A przez jego dwór i chwałę,  
Tak olśnieni, że tam całe,  
Siedem lat odpoczywali.

Wypoczęli. — I znów potem,  
Jadą siedem lat z powrotem.

Wiozą dary trzy od teścia:  
Rogów sto z kości słoniowej —  
Palmowanych szat dwadzieścia —  
Przytém, perłę dla królowej.  
Jedna ona i jedyna,  
Lecz jest warta całe kraje.



Osobliwsza perełczyna!  
Jakby gruszka, słowo daję.



Za tę dziwną powieść moją,  
Zarcikami mnie nie szczypcie,  
Bo te wszystkie rzeczy stoją,  
W starym bardzo manuskrypcie,  
Co go Arab, zwany »Niania«,  
Władający rajskiem piórem,  
Pisał złotem i lazurem,  
W same znaki zapytania.

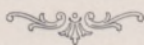
Ci co suszą sobie głowy,  
Nad figlasów tych wykładem,  
Powiadają, że gród owy,  
Był dziwacznie zwan Bagdadem,  
A ów Sultán nad Sultány,  
Który pijał wino z kwiatu,  
Był to władca Kalifatu,  
Harun-al-Raszydem zwany.

Jednak, mimo hieroglifów,  
Co chcą Leszków i Kalifów,  
Do ślubnego przywieść związku,  
Dla mnie rzecz ta jest zagadką,  
Bo nikt niema obowiązku,  
Po arabsku czytać gładko.



CZĘŚĆ CZWARTA.

O MIECZU-SAMOSIECZU, I KONIEC.





CZĘŚĆ CZWARTA.

O WIECZU-SAMOSIECZU I KONIEC.



R

ad niebieskim Wisły prądem,  
Co tak dziwnie tam się wije?  
Stąpa wielbłąd za wielbłądem,  
Wykręcają płowe szyje.

Na ich garbach, tonąc w skarbach,  
Siedzą męże o pstrych szatach.  
Wszak to nasi, ci poslowie,  
Co bywali w kalifatach,  
Po dwudziestu jeden latach,  
Odnajdują się w Krakowie?

— »Jak tu ślicznie!« — Mówią sobie.  
Lud wybiega do nich mnogi.  
Król wychodzi w swój osobie,  
Na wysokie dworca progi.





(Dworzec króla był ciekawy.  
Mocny w okół miał ostrokół,  
Starą wieżę u przystawy,  
Modrzewiowe suche ściany,  
A w jadalni rznięte ławy,  
Tron, niedźwiedziem wyścielany,  
I stół duży, bardzo duży,  
Bo dla całej Lechji służy.  
Król miluje tę komnatę.  
Słudzy zieleń ją potrzęśli.  
W górze wiszą lby rogate,  
Niżej, kilka starych gęśli.)

Król wychodzi, posłów ściska,  
I okrutnie im się dziwi:  
— »Więc wy żywi? Co? Już siwi?  
»A cóż znowu za koniska,  
»Takięj szyi, jak u żmii?  
»A witajcież moi mili!  
»A gadajcież gdzie-ście byli?«

Więc posłowie, gadu-gadu,  
Od Krakowa do Bagdadu,  
Od Bagdadu do Krakowa,  
Wszystko mówią co do słowa.  
Roztwierają wonne skrzynki,  
Dobrywają upominki.

Lecz co który słów nawtyka,  
To zapomni znów języka,  
Bo jeżeli król się dziwi,  
Że posłowie są już siwi,  
To się dziwią też i posły,  
Że tu dzieci tak porosły.

Ów Dobrotko, mdle pacholę,  
Wszak to dzisiaj mąż wyniosły,

Co zagrzewa każdą wolę,  
I rozjaśnia wszelką dolę,  
Jakby słońce miał na czole?

A Ślicznotka owa słodka,  
Co to oczu wznieść nie śmiała,  
Wszak to suta dziś królowa,  
Taka srebrna i wspaniała,  
Jakby światłość xiężycowa?

A co dziwi ich najwięcej,  
To nieznany im ktoś trzeci,  
Który w zorzy pacholęcój,  
Przy królewskiej parze świeci.  
Wszak to przyszły król narodu?  
Obraz ojca! Kto go spotka,  
Ten odnajdzie w nim Dobrotka,  
Takuchnego jak za młodu.  
Lecz że wyrósł, nie gdzieś w lesie,  
Jeno w gronie pańskiej młodzi,  
Więc czupurniej głowę niesie,  
I rad w jasnej zbroi chodzi.

Jednak wzdycha ten królewic.  
Na co zbroja, na co wola,  
Gdy śród płasów, uczt i dziewic,  
Dla odwagi nie ma pola?

I królowi — mówiąc szczerze —  
Też się czasem na żal zbierze,  
Kiedy sobie przypomina,  
Że świat nigdy się nie dowie,  
Jacy, z niego, ach i z syna,  
Mogli wielcy być wodzowie!

Lecz ze szczęściem trudna rada.  
Cała Lechja cicho siedzi,



W zgodzie żyją z nią sąsiedzi,  
Codzień praca i biesiada,  
A o bojach nikt nie słyszy,  
I królowi się w tej ciszy,  
Nawet skarżyć nie wypada.

Chléb w szacunku jest u ludzi,  
Lecz im trzeba i krzty soli.  
Długi pokój czleka nudzi,  
Póki co go nie zaboli.

☆

☆

☆

Król się jeszcze, razem z żoną,  
Teściowemi dary cieszy,  
Gdy zawrzało znowu w rzeszy,  
I z wieżycy doniesiono,  
Że ku Wiśle idą w podle,  
Jacyś ludzie.... Rzecz straszliwa!  
Ludzie wzrostem równi jodle,  
Z włosiem długim jakby grzywa,  
Cali łuską porośnięci —  
Ale chyba nie złój chęci,  
Bo z nich każdy głową kiwa,  
I gałązką w ręku kręci.

Białogłowy łamią dłonie.  
Lud się tłoczy bez pamięci.  
Król co prędzój siadł na tronie,  
Lecz pod niebem, nie pod dachem,  
Bo gość taki, bez ochyby,  
Jednym zdarłby go zamachem.

Naród patrzy się ze strachem.  
Wchodzą męże. Wieloryby!









Że ogromni, to ogromni.  
Nasi przy nich? Czyste grzyby.

Król niepoznał to ich niby.  
Lecz jak sobie coś przypomni,  
Tak aż krwią mu zaszło lice.  
Niepojęty wstyd go dręczy —  
Spuścił oczy — i prawicę,  
Do tronowej wpil poręczy.

Pokłonili się łuskowi,  
Poczém prawią rzecz królowi:

— »Przynosimy ci przymierze,  
»Od znanego ci Dągala,  
»Który ciebie kocha szczerze,  
»I za wzór cię w męztwie bierze,  
»Bo pamięta i wychwala,  
»Jaki byleś wytrzymały,  
»Gdyśmy wzięli cię na próby.  
»*Niema w świecie większej chluby,*  
»*Jak dla cnoty rzec się chwały.*

»Zatém pan wielkoludowy,  
»Posłyszawszy, że syn wdowy,  
»Berło zyskał u narodu,  
»Sklada piękne winszowania,  
»I przyjaźnie ci się kłania.

»A że przyjaźń bez dowodu,  
»Jest jakoby ul bez miodu,  
»Więc przestrozę ci podaje.  
»Strzeż się królu! Na twe kraje,  
»Wojna ciągnie od zachodu.



»A że rada bez pomocy,  
»Jest jakoby sznur bez procy,  
»Więc ci w darze miecz przysyła.  
»Jest-to miecz cudownej mocy.  
»Gdyby dola ci skrewiła,  
»Gdyby źli nieprzyjaciele,  
»Dokuczali ci zawzięcie,  
»Nie dbaj na nich, nie myśl wiele,  
»Tylko wymów to zaklęcie:

»*Mieczu, mieczu, Samo-sieczu!*  
»*Niech na moje rozkazanie,*  
»*Zuch się zaraz trusią stanie!*

»Tylko wymów, a dam szyję,  
»Że ten miecz ich sam pobije.«

Tu sklonili się łuskowi,  
Miecz oddają Dobrotkowi.

Ni on w srebrze, ni on w złocie,  
Niepozorny, gładki, szary,  
Tylko widać na brzeszczocie,  
Znaczki czarne, mrówczej miary.  
Pewnie stoi tam wryta,  
Jakaś prawda znakomita,  
Ale takiej prawdy stariej,  
Choćby włożył okulary,  
Sam Bakalarz nie wyczyta.

Król odetchnął gdy ich słucha —  
Podniósł oczy — nabrał ducha —  
I rzekł: — »Wielce mnie cieszycie.  
»Była jedna myśl, jedyna,

»Co mi dotąd psuła życie —  
»Myśl, że taka jest kraina,  
»Zkąd wyszedłem bez obrony,  
»Pogardzony! Wyświecony!  
»Więc to próbą tylko było?  
»Więc mnie jeszcze szacujecie?  
»O najlepsi ludzie w świecie,  
»Jakże wieść ta mi jest miłą!

»Niechże władca wasz się dowie,  
»Że przyjaźni wielkoludów,  
»Będę strzegł jak oka w głowie.  
»A za miecz ten, cudo cudów,  
»Acz ubogi jest mój zbiorek,  
»Coś mu także poszlę w darze.«

Tu ze Skarbca przynieść każe,  
Sławny Lemiesz Samo-orek.

— »W waszym kraju,« — znowu rzecze,  
»Macie ludzi, macie miecze,  
»Ale z ziemi radość mała.  
»Dobrze pomnę, goła skała.  
»Plug ten przyda się tam święcie.  
»Trzeba tylko rzec zakłęcie:

»*Plużku-służku, Samo-orku!*  
»*Od zaranka do wieczorku,*  
»*Rób mą wolę, kraj mi rolę!*«

»On zawarczy, i przez pole  
»Zacznie dyrdać jak szalony,  
»Aż pokraje wam zagony.  
»Czy po skale, czy po stole,  
»Ze wszystkiego zrobi rolę.«



Wtedy posłom, od uciechy,  
Wąsy wstały jakby wiechy.

Potém każdy jadł troszeczkę.  
Wołu w płaty sobie pociął,  
Kaszy lyknął cały kociół,  
Piwa chlipnął całą beczkę,  
Począc syci i weseli,  
Uściskawszy karmicieli,  
Poszli pieszką z tym lemieszkiem.

A daleką drogę mieli.

Bo niech który ze słuchaczy,  
Spyta kogo ze szperaczy,  
Jakie było ich nazwanie?  
A ten, tak mu wytłumaczy:

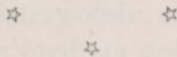
— »Pewnie byli to Normanie,  
»Lud rycerski, czyli raczój,  
»Lud korsarski i tułaczy,  
»Bohaterzy starych Sagów,  
»Co się tłukli kilka wieków,  
»Od Palermów do Lubeków,  
»I od Wisel aż do Tagów.

»A ów Draǵal, wódz ich tęgı,  
»O nim także mówią xięgi.  
»Jak widzimy z pewnej daty,  
»Był to pewnie ów kudłaty,  
»Wiking Raniar, zwan Lodbrokiem,  
»Co na morzu władł szerokiem,  
»Stu-łokciowe kuł orężę,  
»Z gryfięj skóry miał pawężę,  
»Łamał mury, dusił męże,  
»Aż go w końcu..... zjadły węże.«

— Tyle piszą mądre głowy.  
Ja tam, w rzeczach téj osnowy,  
Jestem całkiem równa dziecku.  
Więc powtarzam wam ich zdanie,  
Ale przysiądz niechęć na nie,  
Bo nieumiem nic po szwedzku,  
A malutko po niemiecku.

W każdym razie, jeśli posły,  
Aż za morze Pług odniosły,  
To nikt w świecie nie wysłowi,  
Jak był miły Drągalowi.  
Niewiem jednak czyli tyle,  
Ile Miecz ów zawadjaka,  
Stał się miłym dla Polaka.

Bo téż trafił w samą chwilę.  
A przyczyna była taka:



Żył w te czasy, gdzieś daleko,  
Wielki mocarz Okcydentu.  
Za dziewiątą władał rzeką.  
Berło miał jak maszt okrętu,  
Jadł na tarczy jak na misie,  
I tak lubił piękność wojny,  
Że nietylko w dzień był zbrojny,  
Ale nawet spał w kirysie.

Wszyscyuteńko szło mu sporo,  
Los go żadnym nie gryzł mólem,  
I synalów miał siedmioro,  
I każdego zrobił królem.



Siedział w mieście, co jest zwaném  
Tak dziwacznie, Akwizgranem,  
Gdzieś przy Renie. (Ren, to rzeka,  
Co aż w morze się zacieka,  
I ma w sobie taki kwasek,  
Że weź kielich, byle ino  
Był zielony i grubasek,  
To ci wmówią żeś pił wino.)

Mocarz tedy pysznie mieszka.  
Pałac jego, bez przymówki,  
Dużo lepszy niż u Leszka.  
Z orlich dzióbów tam dachówki,  
Z cynamonu wszystkie belki,  
W murach złote są kafelki,  
W oknach szczere są djamenty,  
Słowem, pałac jak zaklęty.

Więc ów mocarz taki wielki,  
Prawie boskim był obrazem.  
Choć to rzecz niedowiedziona,  
Czy ich dwóch nie było razem?  
Bo słyszałam dwa imiona.

Wprawdzie z kronik co są w Rzymie,  
To się jawnie pokazało,  
Że już było mu zamało,  
Nosić jedno tylko imię.  
Gdy więc łaską czy przymusem,  
Zdobyl sobie drugie miano,  
Podwoście go nazwano:  
Karolusem, i Magnusem.

Lecz to rzeczy nie uproszcza.  
Zresztą, gadam wam jedynie,  
Wedle słów Xiędza Proboszcza,  
Bo nieumiem po łacinie.

Otóż mocarz, późną nocą,  
W malowanych pargaminach,  
Gdy o sławnych czytał czynach,  
Rzekł: — »A ja tu siedzę po co?  
»Żądza chwały we mnie gore.  
»Chcę pół świata, pół zabiorę.«

Wziął połówkę z wielką chwałą.  
Alić, jakby na przekorę,  
Drugiej mu się wnet zachciało.

A tu właśnie, w niepowszednim  
Już był wieku. Brodę białą,  
Miał tak długą, że ją przed nim,  
Aż trzech paziów nieść musiało.

To mu skrycie strulo życie.  
W dzień, zważano jego bladość;  
W nocy, gruby jęk słyszano.

Raz, po syna posłał rano.  
— »Słuchaj! Starość« — rzekł — »nie radość.  
»Mnie już trudno dźwigać zbroję,  
»Lecz rachuję dziś na ciebie.  
»Dam ci wojska całe roje,  
»Tyle, ile gwiazd na niebie.

»Gdy po ziemi okiem wodzę,  
»To mię — widzisz — korci srodze,  
»Że nie wszystko tam jest moje.  
»Leży jeszcze na wschód słońca,  
»Nie podległa mi kraina.  
»Ledwo wiem gdzie się zaczyna,  
»A ciekawy jestem końca.  
»I nie zasną póty w grobie,



»Póki moją téż nie będzie,  
»Bo już tak przysiągłem sobie:  
»Władać nigdzie, albo wszędzie.

»Tamten kraj, to Słowiańszczyzna.  
»Ziemia u niej djablo żyzna,  
»Lud ochoczy i roboczy,  
»Dziewki ładne, ach jedyne!  
»Weź mi zaraz tę krainę,  
»Lub nie pokaż się na oczy.«

Synał, jakby chłopak mały,  
Stał i drżał na głos monarszy,  
Choć to z synów był najstarszy,  
Ten, co Szwaby go słuchały.

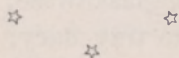
Zatém Szwabski król, posyła  
Na niemieckie wszystkie kresy,  
Rozkaz, aby zbrojna siła,  
»Sack und pack« się gromadziła.

Pędzą Duki i Komesy,  
I Margrafy i Barony.  
Mają pancerz wysrębbrzony,  
Złote kolce u korony,  
Płaszcz świecącą spięty klamrą,  
I tę wiarę, że ogromną  
Wezmą zdobycz, — a nie pomną,  
Że nim wrócą, może zamrą?

Przez rok cały, zgielk i wrzawa,  
Twarde serca ich napawa.  
Aż nakoniec, rżnie wyprawa.

Sto po drodze lasów zdmucha,  
Sto wypija rzek do sucha,

Sto kańczastych gór druzgoce.  
A po bokach, lud przystawa,  
Trzy dni patrzy, i trzy noce,  
Wojskom nigdy niéma końca.  
Więc Niemiaszek drwić zaczyna:  
— »A to będzie siekanina,  
»Z tamtych ludów na wschód słońca!«



Przyleciała wieść o wojnie.  
Gmin zatroskał się w Krakowie.  
Lecz król przyjął ją spokojnie.  
»Mądrój głowie, dość na słowie.«  
Nie zapomniał on przestrogi  
Wielkoludów, i już więcej,  
Niż od jakich trzech miesięcy,  
Z wojskiem gotów był do drogi.

Gdy wyprawę otrąbiono,  
Miecz-Samosiecz wziął w zapasie,  
I zawiesił na swym pasie,  
Razem z szablą ulubioną.

Potém chodził po krużganku,  
A tam wzdychał bezustanku,  
Bo się żegnał z miłą żoną.

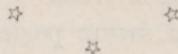
Dosyć ona go rozczyła,  
A tu jeszcze matka króla,  
(Pani rześka, lecz u której,  
Włos już białął po raz wtóry,  
Schodzi do nich na krużganek,  
Trzymająca w ręku dzbanek,



Patrzy na nich coraz łzawięj,  
I tak syna błogosławi:

— »Gdy z tym dzbankiem, chłopię młode,  
»Po cudowną szedłeś wodę,  
»Dla wskrzeszenia matki staręj,  
»Trzy poniosłeś tam ofiary.  
»Ztąd modlilam się ja zawsze,  
»By ci niebo najłaskawsze,  
»Przywróciło te trzy dary:  
»Byś na głowie miał koronę,  
»Tę co kochasz, wziął za żonę,  
»I zwyciężył w polu sławy.  
»Już dwa dary są zwrócone,  
»Obyś trzeci wziął z wyprawy!

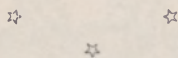
»Idź-że tedy w pole chwały,  
»Moje dobre ty Dobrotko.  
»My tymczasem ze Ślicznotką,  
»Łzy do dzbanka będziem lały,  
»Aż napelni się dzban cały.«



Już ich ledwo widać z wieży.  
Król w czerwieni przodem bieży,  
Kolo króla jadą starce,  
A królewicz wśród młodzieży,  
Wyprawuje śliczne harce.

Za nim idą Krakowiacy,  
Którzy nie są jacy-tacy,  
I Polanie ze sztandarem,  
Co mieszkają w Gnieźnie starém.

Idą — idą — a tu chyłkiem,  
Lew pojawia się z posiłkiem —  
I Ślązk idzie, i Morawy,  
Jeszcze wówczas pełne sławy —  
I Czechowie, naród bosy,  
Co nadgryza wrogom nosy —  
I z Pomorza ludek taki,  
Który morskie je ślimaki —  
I Mazury pocziwiny —  
I Łużyckie roty z Drezna —  
I z dalekiej Ukrainy,  
Ludzie, których nikt już niezna.



Czy słyszycie to szczekanie?  
Huczy trąba przeraźliwa.....  
Już tam Szwaby i Słowianie,  
Muszą bić się niesłuchanie.  
Dobrze, — ale któż wygrywa?  
Otóż właśnie tu pytanie.

Przez dzień jeden, przez dzień drugi,  
Równe obu wojsk zasługi.

Na dzień trzeci, strzała leci.....  
O złośnica! Choć tak wiotka,  
Wskrós przebija bok Dobrotka.  
Żyw on jeszcze, lecz pod raną,  
Krew utracą..... gnie kolano.....  
A Słowiańska jego rzesza,  
Na ten widok już się miesza.....  
Czarna przyszła nam godzina!  
Szwab już górę brać zaczyna.



Król zraniony siły zbiera.  
Wstrząsł się, wsparł o ramię syna,  
Wstaje z mocą bohatera,  
Miecz wyjmuje, i zaklina:

— *»Mieczu, mieczu, Samo-sieczu!  
»Niech na moje rozkazanie,  
»Zuch się zaraz trusią stanie!«*

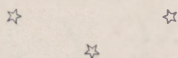


O zjawisko nad zjawiska!  
Miecz mu sam wyskoczył z ręki —  
Jak okrągłe słońce błyska —  
Pęka — sieje świst i szczęki —  
W tysiąc mieczów się rozpryska.

Gdzie wróg spojrzy, wszędzie miecze.  
Wszystkie lecą przez powietrze.....  
Każdy rąbie, rżnie i siecze —  
I co muśnie, to w pył zetrze.

Padł na Niemce popłoch srogi.  
Miecz za niemi! Oni w nogi.  
Jak zaczęli biedz wybladli,  
Tak bez wieści gdzieś przepadli.  
Już nie widać nic zdaleka,  
Ani miecza, ani czleka.

Toż dopiero Słowiańszczyzna,  
Dobrotkowi dziękowała!  
Bo już każdy mi też przyzna,  
Że wygrana to niemala,  
Zwalczyć moc takiego dziwa,  
Co Magnusem się nazywa.



Dotąd, baśń o dziecku wdowiém,  
Była pewna, choć niezwykła,  
Lecz na końcu mi się wikła.  
Więc, i tak i siak opowiem.

Wedle starój xiąg mądrości,  
Król, okrutnie żalowany,  
Przez Chrobaty i Polany,  
I Lechickie wszystkie stany,  
Po zwycięztwie, umarł z rany,  
Czego kaźden mu zazdrości,  
Bo to koniec okazały,  
Ponieść śmierć na polu chwały.

Lecz tu wierzyć niewiem komu?  
Bo znów inna xięga fuka,  
Że fałszywa to nauka,  
Że król wrócił się do domu,



Dzięki Cetnu-lekarzowi,  
Z rany wyszedł jak najzdrowiej,  
Stare Licho wziął za Śmieszka,  
Miał pociechę z syna Leszka,  
Wykołysał sobie wnuka,  
Co nazywał się Popielkiem,  
I tak żył we szczęściu wszelkiem,  
Aż latami przeszedł kruka.

Że jednakże pod tém słońcem,  
Nie są wieczne dnie niczyje,  
I on musiał, koniec końcem  
Umrzeć, kiedy dziś nie żyje.

Warszawa.

Pisałam w 1866.

Przejrzałam i poprawiłam w 1897.



PRZYPISY.









DO CZĘŚCI PIERWSZEJ  
O WDOWIE I JEJ TRZECH SYNACH.

Str. 11, wiersz 14 od góry:

*A w téj chacie żyła wdowa.  
..... A przy wdowie,  
Dorastali trzej synowie.*

Główna treść baśni tworzącej *Część Pierwszą*, osnuta jest na podaniu krążącym pomiędzy naszym ludem, a które znaleźć można szeroko i wdzięcznie opisane, w dziełku pod nazwą: **Podania i baśni ludu na Mazowszu** przez Zamarskiego — Str. 1 — Wrocław — 1852.

Str. 17, w. 12 od dołu:

*Góra cudna i straszliwa,  
Co Sobotnią się nazywa.*

W wielu naszych podaniach odnajduje się góra nazywana *Sobotnią*, góra o której lud opowiada tysiące cudownych wieści. Gdzie ona leży? Tego nam wieści owe jasno nie tłumaczą, bo rzadko kto do niej trafił, mówią tylko że *Źródło życia* z niej wytryska.

Zstępując jednak ze świata legend do rzeczywistości, spostrzegamy że góra téj nazwy istnieje na Szlaku, o kilka mil od Wrocławia, i dobrze jest znana mieszkańcom tego miasta, jako cel przyjemnych wycieczek. Do dziś dnia, w naszej mowie nazywa się *Górą Sobotnią*, a u Niemców *Zoptenberg*.



Sława tój góry niegdyś szeroko się rozpościerała. Tam uroczystość *Sobótki*, największy obrzęd wiary Słowiańskiej, musiała mieć główne swoje ognisko, a tajemnicza nazwa *Góry milczenia*, *Mons silentii*, którą dawni pisarze nadają także tój wyżynie, dowodzi, że przed wiekami, otaczała ją czarodziejska groza.

Do dziś dnia na jój szczycie bije czyste źródelko. Wprawdzie, w obecnym czasie, nikt już nie doznaje cudownych wpływów tój wody, ale jakże się dziwić, kiedy z idących dziś po nią, nikt już się nie poddaje owym strasznym próbom *nieprzerwanego chodu* i *nieprzerwanego milczenia*, w których — jak twierdzi podanie — miała spoczywać zaklęta moc tego źródła?

---

## DO CZĘŚCI DRUGIEJ

### O CHŁOPCZYKACH, CZAROWNIKACH, I GWOŹDZIKACH.

---

Str. 39, w. 1 od góry:

*A rządziło wonczas w kraju,  
Wojewodów aż Dwunastu.*

«Gdy tedy nie stało potomków Krakowych, Polacy znowu wybrali dwanaście Wojewód, ku rządzeniu R. P., y rządzili przez czas nie mały nie źle: zwłaszcza póki się zasię w łakomstwo a w pychę nie wdali.»  
**Kronika** Marcina Bielskiego — Xięgi Pierwsze — Str. 25 — Warszawa — edit. Soc. Jesu — 1764.

Niepróżno autor używa tu wyrazu *znowu*, już albowiem dawniej spotykamy w Kronikach epokę *Pierwszych Dwunastu Wojewodów*. (Którym też w Pierwszej Xiedze *Polski w Pieśni*, poświęciliśmy Strof kilkanaście.)

Z pomiędzy owych Pierwszych, Krakus wynosi się nagle na jedynowładztwo, po nim nastają krótkie rządy jego synów i córki, a po zgonie tój ostatniej, kraj znowu się rozpada na osobne cząstki, co dowodzi, jak słabą jeszcze wówczas bywała ich spójnia. Ta epoka powtórnej zamieszki, nazywa się u Kronikarzy *Panowaniem Drugich Dwunastu Wojewodów*.

Str. 42, w. 13 od góry:

*Wszakci prosty chłop co orze,  
Wię że straci wszystko zboże,  
Jeśli stadu dzikich koni,  
Roztratować je pozwoli.*

.....  
*Gonście sobie we sto koni,  
A kto wszystkich was przegoni,  
Ten niech raz już królem będzie.*

»..... Z powodu trudności pogodzenia sprzecznych głosów..... rzekli: Najbujniejsza winorośl (?) zniszczeje pod rozpętanymi i nieczystymi nogami koni; winoroślą jest kraj ten; wyuzdane konie, to duma wasza, która was tylekroć plami, ilekroć macie przeciwne zachcenia. Wybierzmy więc miejsce gonitwy, oznaczmy metę, a czyj koń pierwszy do mety zdąży, tego powitamy królem. Każdy się na to zgodził, przyklasnęli wszyscy.« **Kronika polska** Kadłubka — Str. 51—52 — Kraków — 1862.

Str. 48, w. 6 od góry:

*..... Naród, w tej dolinie,  
Obrał pole na gonitwy.*

»Zezwolili się tedy na to, aby z tych Kompetitorów wszyscy puszczaali na koniach zawód, od Krakowa do Prądnika, równią czystą; gdzie im cel to jest słup postawiono, na którym Sceptra Xiążące położono. Dano jawnie wołać, który pierwój do niego przybieży, ten miał bydź Monarchą ich. Ustawili na to Sędzie.« **Kronika** M. Bielskiego — Str. 26 — Warszawa — 1764.

Str. 52, w. 12 od dołu:

*Wtedy Licho, bez łoskotu.....  
Cóż zasiewa, ręką macha.....*

»Był tedy jeden między niemi Leszko chytry, który na drodze kędy miały konie iść, nabił gwoździ w ziemię żelaznych..... y sprzysypował ziemią, a konia całami podkowami dał sobie ukować dla uchronienia.« **Tamże** — Str. 26.

Do której to wiadomości Kromer dodaje:

»Gdyż wszystkich inszych konie, podług zwyczaju wieków onych, kowane nie były.« (Patrz w edycji Warszawskiej z 1767 r. — Str. 40.)



W Długoszu zaś, spotykamy jeszcze ten szczegół, że ów Leszek chytry, wykonał swój zamach »w późnej nocy, bez świadka, żeby go nikt wydać, albo uczynku rozgłosić niemógł.« **Dzieje polskie** Jana Długosza, przekład Bornemana — Str. 155 — Leszno — 1840.

Str. 55, w. 13 od dołu:

..... *Mnie się przyśniło,  
Byśmy także spróbowali,  
Kto z nas lepiej w pole wali?*  
.....  
*Tylko stawiam za warunek,  
By pobity, po wsze czasy,  
Dla zwycięzcy miał szacunek,  
I do śmierci zwał go Królem.*

»Dway bowiem młodzieńcy, ni majątney ni znakomitey kondycyi, wyszedłszy dla rozrywki na miejsce gonitw, ułożyli żartem ścigać się na piechotę do mety wystawionej, wyznaczając za dank, żeby zwyciężony zwycięzcę zawsze zwał y wital Królem.« **Tamże** — Str. 155.

Str. 56, w. 12 od dołu:

*Wszystkie maści są srokatěj.*

Str. 60, w. 10 od góry:

*Tylko rudy pan deresza,  
Coraz mocniej bieg przyspiesza,  
Aż się słupa tknął zwycięzko.*

»Gdy nadszedł dzień Sejnu, a wielu mężów i młodzieńców na srokatych koniach przybyło, ci, którym staranie koło tego powierzono, zaprowadzili chcących szczęścia próbować, na miejsce gonitw. A że cała szlachta i lud polski, zszedłszy się licznie na tak wielkie i rzadkie zjawisko, chcieli widzieć koniec zdarzenia niesłychanego, dzień wyścigów, wyznaczony na 15-go Października, ukazywał zewsząd ciekawe widowisko. Pole piaskiem posypane, tron Królewski wystawiony przez pierwszych Panów, lud zewsząd na widowisko zgromadzony, twarze, uwaga i oczy, na ubiegających się zwrócone, a w nich, jak to bywa, wieloraka obawa, życzliwość, litość i przychylność, według rozmaitego ułożenia duszy. — A gdy wszystkich ubiegających się o Królestwo, bieg równie był przyspieszony, konie wszystkich pokaleczywszy się sześciobokami, których żaden uniknąć niemógł, naj-

przód potykają się i stawają, a nawet padają, i jeźdźców swoich, gwałtowniej naglących, zrzucają, opóźniają, albo na ziemię powalają. Sam Leszko, podstępny rozsiewacz sześciogranów, który jeszcze kopyta konia swojego podkowami żelaznemi zewsząd jak najpilniej opatrzył, aby uniknął niebezpieczeństwa, nie bez zadumienia i dziwu towarzyszków i widzów, do mety nieco pierwój konno przybył, i kolumny jako zwycięzca się pochwycił. Lecz i jeden z dwóch młodzieńców, o których wyżej opowiadaliśmy, co dla zabawy biegli na wyścigi..... tuż i on, ścieżką piaskiem wysypaną i szybkim biegiem, jako drugi do mety przybywa.« **Tamże** — Str. 156—157.

Str. 63, w. 9 od dołu:

*Wzięto Xięcia, przywiązano,  
Aż do czterech dzikich koni.*

Str. 66, w. 9 od dołu:

*I Dobrotka, w tejże chwili,  
Leszkciem Wtórym okrzyknięto.*

»Zgromadzenie bowiem oburzone, zobaczywszy podkucie konia, ogłosiło go sprawcą podstępu..... został na śmierć skazany, i w kawałki rozszarpany. Ów zaś, co tak śmiesznym wszystkim się wydawał, wyrokiem Senatu rządu objął.« **Kadłubek** — Str. 53 — Kraków — 1862.

»Leszka tedy pierwszego końmi roztargnęli, a tego co do słupa piezki pierwey przyszedł, za Pana wybrali, y dali mu imie Leszek także.« **M. Bielski** — Str. 26 — Warszawa — 1764.

Długosz téż powiada, że »ażeby niczego nie brakło do uświetnienia jego nieznanéj osoby, zmieniono dawne jego nazwisko i *Leszkciem* go nazwano«, przyczém jeszcze dodaje cenną uwagę, że »w owych czasach u Polaków, ludzi wyniesionych na godność Xiążęcą, częstokroć oznaczano tém imieniem, jakoby jakim dostojeństwem.« — Str. 158 — Leszno.

---

Z ustępów przytoczonych w powyższych Przypisach, widzimy że Kronikarskie podanie o *Gonitwach w dolinie Prądnika*, jest niezmiernie wyraźne, i zabarwione szczeromiejscowym kolorytem. Słusznie téż zauważył Marjan Czapski, (patrz w **Historji Konia**, Tom II. Str. 29.) że podanie to najlepiej świadczy, jak Polacy wysoko zawsze cenili, przy-



rodzoną sobie poniekąd, biegłość w jeździe konnej, kiedy nawet najwyższe rządy, przeznaczali niegdyś dla najlepszego jeźdźca.

Ma też to podanie i niezatarte cechy *prawdy*. Musiało rzeczywiście zajść kiedyś podobne zdarzenie, i musiało wyręć się mocno w pamięci pokoleń, skoro naród, po całych wiekach, pamiętał jeszcze takie szczegóły, jak miejsce obrane dla wyścigu, dzień w którym on się odbywał, imiona głównych działaczy, nawet maść koni naówczas ulubioną, nawet ów krotocwilny zakład o nazwę *Króla*, nawet ów śmiech wywołany przez dwóch młodzieniaszków!

Ten śmiech, ta nuta komiczna, jest tu dla mnie najsilniejszym probierzem wiarygodności, bo kiedy ludzie zmyślają swoją przeszłość, to nie lubią jęć ośmięszczać, ale owszem starają się zmyślać same rzeczy wspaniałe, podchlebiające ich próżności. Jeśli się więc tam znajdzie jakowa rzecz śmieszna, to już śmiało można w nią wierzyć.

Przy wielu jednak cechach prawdy, podanie to posiada i takie strony, które cudnie nadają się do Baśni. Jeszcze w pierwszych latach mojej młodości, ile razy czytałam o tym dziwnym chłopaczku, »ni maiętney ni znakomitey kondycyi«, który, »śmiech ludziom z siebie czyniąc«, doszedł do korony, i stał się prawdziwym ideałem dobrego króla, zawsze wtedy majaczył mi w pamięci ów *najmłodszy brat* ze wszystkich Baśni, którego to dwaj starsi zwali »glupim«, a który naprawdę był od nich mędrszy, bo *lepszy*, i który póty dobrze czynił, (nietylko ludziom ale wszelkim stworzeniom,) aż poślubił królową, szczęśliwie panował, i jeszcze braciom świadczył dobrodziejstwa.

Owo to podobieństwo losów, naprowadziło mnie na myśl, aby Dobrotka i Leszka złączyć w jedną postać, i Baśń z Podaniem zlać w jeden poemat.

---

## DO CZĘŚCI TRZECIEJ

# O SMOKU I O SUKMANIE.

---

Dawni nasi Kronikarze, umieszczają zwykle między powtórnemi Dwunastu Wojewodami a tym Leszkiem Wtórym, innego jeszcze Leszka zwanego *Przemysłnym*. Niektórzy jednak późniejsi badacze, poczytują tego Przemysława za też samą osobistość co *Samon*, który żył nierównie dawniej, bo współcześnie z królem Dagobertem. Poszliśmy za ich zdaniem,

i tego *Przemysłnego-Samona* wprowadziliśmy już wcześniej do poematu p. n. *Wojna Olbrzymów*, a teraz, wprost od powtórnych Wojewodów przechodzimy do Leszka II-go.

Str. 71, w. 1 od góry:

*Więc na tronie siadł Dobrotko.*

Przypuszczalnym czasem w którym ten Leszek mógł panować, jest koniec Ósmego i początek Dziewiątego wieku. *Komput Królów Polskich* umieszczony w Pierwszym Tomie *Niesieckiego*, (patrz Wydanie Lipskie, Str. 7.) kładzie śmierć Leszka Wtórego między rokiem 800-m a 810-m.

Tu niejeden czytelnik zapyta z uśmiechem, czy godzi się jakkolwiek datą oznaczać wypadki tak niepewne, i niepodobne do udowodnienia? I słuszném byłoby podobne niedowierzanie, gdyby chodziło o ścisły dziejopisarski wywód; ale poezja niemoże być tak wymagająca; gdyby wszędzie szukała zupełnej pewności, musiałaby nigdy nie tykać *przedhistorycznych* postaci, a te właśnie są jój ulubionemi, bo noszą niektóre cechy wspomnień narodowych, a jednak zostawiają wolne pole dla działania twórczej wyobraźni.

Zresztą, nawet i w owych czasach zamglonych, pilny poszukiwacz trafia na pewne wskazówki, które od znanego prowadzą go ku nieznanemu. I tak, jeśli osoba, żyjąca w czasie nieoznaczonym, miała — według podania — stosunki z inną osobą, dobrze znaną historji, wtedy sama już ta współczesność wskazuje epokę, w której pierwsza żyć mogła.

O Leszku Wtórym Kroniki mówią, że wojował z Karolem Wielkim, i że syn jego Leszek III-ci, po ukończeniu wojny, jako pisze „Sabellicus, ieździł do Cesarza Karła Wielkiego, do Akwisgranu, z dary albo upominki.” (Patrz *Bielski* w edycji Warszawskiej z 1764-go r. Str. 27.) Już więc umysł chciwy na daty, ma się czego uchwycić. Czy zaś ów Leszek wojujący, był tym samym którego obiór wypadł z pamiętnych Gońców? Czy był władcą Lackim, Chrobackim, Czeskim, czy chwilowym wodzem tych wszystkich ludności? To są zagadki, których krytyka dziejowa jeszcze nie rozwikłała, i może nigdy nie rozwikła, jednak tożsamość osób jest w nich *prawdopodobną*, a dla Baśni dziejowej to i dosyć.

Str. 71, w. 2 od góry:

*A choć złotą wdział koronę,  
Przecie serce w nim jak złotko,  
Pozostało niezmienione.*

.....



*I przed sobą kazał zawsze,  
Swoją starą kłaść sukmanę.*

»Leszkim go nazywają. Ten tedy, gdy wątpliwy, y niespodziewanemu szczęściu dziwiujący się, Xięztwo na się przyjął, uczynił natychmiast staranie, aby się był godnym tak wielkiego Maiestatu pokazał.... Był na goście znamienicie hojny, na domowych zaś, lub kto w cnotcie iakiey celował, lub w ubóstwie na niedostatku szwankował, szczodrobliwym; y tak, że wolał sam własney potrzebie swéy uiąć, aniżeli kogo smętnym y nie udarowanym od siebie wypuścić. Do przystępu snadny, w rozmowie ludzki; na potężniejszych którzy krzywdami y bezprawiem iakim chudszeo cisnęli, surowym był barzo y sprawiedliwym sędzią. W karmieniu zaś y ponoszeniu ciała osobliwie był pomiarkowanym, grubych y prostych sukien miasto obicia używał, aż kiedy było cokolwiek do ozdoby y okazałości Maiestatu Xiążęcego, osobliwie dla ludzi postronnych przydać, toż dopiero y siebie y pałace stroił. Wszakże y na ten czas, suknie, których więc przed dostąpieniem Xięztwa używał, kłaść sobie przed oczy kazał, z którychby był pierwszego szczęścia swego, ustawnie pamiątkę biorąc, uważał z kąd na stopień tak wielkiej godności wywyższony był.« — **Kromer** — Xięgi I — Str. 40—41 — Warszawa — 1767.

**Bielski**, kręśląc podobny wizerunek Leszka II-go, dodaje szacowne słowa:

»Y trzymali długo ten obyczaj Monarchowie po nim.« — Str. 27 — Warszawa — 1764.

Str. 72, w. 3 od góry:

*Iwa przytrzymał na swym dworze.*

*Zamianował go Żupanem,  
Téj Czervińskiej ślicznej ziemi.*

Na owego drugiego »chłopaka«, co współzawodniczył z Dobrotkiem w pieszym wyścigu do korony, była nam koniecznie potrzebną jakaś postać wybitniejsza, choćby w pół, czy ćwierć-historyczna. Jedną tylko znaleźliśmy, a tą był ów Lew czyli Leon Xiąże Słowiański, który żył właśnie w tymże czasie, i o którym przechowały się niezmiernie cenne wiadomości.

Michał Baliński w swojej **Pielgrzymce do Częstochowy**, (Warszawa — 1846) opowiadając dzieje Cudownego Obrazu, mówi że »Cesarz Nicefor.... miał między innymi darami i relikwiami, ofiarować Karolowi Wielkiemu i ten Obraz. Wszystkie te relikwie Cesarz Karol złożył w stolicy swojej Akwizgranie, a jeden tylko Obraz ten biorąc z sobą na wyprawy wojenne, miał nakoniec darować jakiemuś Xiążęciu Słowiańskiemu,

który go w wojnie przeciw Saracenom posiłkował. Xiążę, otrzymawszy pożądaný Obraz, ozdobił go drogiemi kamieniami, w blachę srebrną oprawił, i na zamku Belzkim złożył, gdzie przez długie czasy, pomimo różnych zmian i napaści nieprzyjaciół, zostawał.« — Str. 69—70.

Daléj autor powiada że, »tradycje te, poczerpnięte z powieści pewnego zakonnika, pierwszy zapisał Mikołaj Lanckoroński, Posel Zygmunta I-go do Konstantynopola, i umieścił je w **Relacji Poselstwa**, która, na osobnym pargaminie wyrażona, miała się znajdować na Jasnój Górze.« — Nakoniec dodaje, że »ów Xiążę był tam nazwany Leonem.«

Wspomnienie o zamku Belzkim, wskazuje dostatecznie, jaką częścią Słowiańszczyzny zawiadywał ów Leon, czyli — mówiąc po naszymu — Lew, imię, które często się trafia między dawnymi władcami ziem Czerwieńskich.

Niektórzy dziejopisowie chcą Leona tłumaczyć przez Lechona, i łączą go tym sposobem z postacią samegoż Leszka. Wiele nawet względów przemawia pozornie za tém zdaniem. Jednak z drugieój strony, podarowanie Cudownego Obrazu Xiążęciu Słowiańskiemu, służy za wskazówkę, że ów Xiążęć musiał już być nawrócony na wiarę Chrześcijańską; Karol Wielki nie oddawałby poganinowi tak uświęconego zabytku. Tymczasem w dziejach naszych Leszków, nigdzie nie znajdujemy śladu, ażeby ci Xiążęta byli skłonni do nowéj wiary. Mógł więc ów Xiążęć Lew być osobą od nich odrębną.

Zresztą, cała ta legenda, ciekawa, bo przypominająca jakiegoś bohatera Słowiańskiego, żyjącego przed lat tysiącem, jest tak ciemną, że poeta może dowolnie wybierać lub odrzucać jéj oderwane rysy, a postaci Lwa i Leszka, jednoczyć albo rozdawać, stosownie do wymagań sztuki.

Str. 72, w. 13 od góry:

*Wzniósł na górze,  
Gród, i miasto niezbyt duże,  
I to wszystko nazwał Lwowem.*

Założenie Lwowa przez owego Lwa mitycznego, jest tylko baśniowém przypuszczeniem. Nauka mu się jednak nie sprzeciwia. W **Starożytnéj Polsce** bowiem, w Tomie II-gim, na Str. 550, czytamy:

»Lwów (Leopolis).... Powszechnie utrzymują iż Leon czyli Lew Daniłowicz xiążęć Halicki..... między 1268 a 1270 r. przeniósł tu stolicę.... i stał się założycielem miasta Lwihorod zwanego. Świeże badania wykazują, że na lat kilkadziesiąt przed tą epoką, istniał już gród znakomity; być więc może, iż uległszy zniszczeniu, na nowo przez xiąćcia Lwa odbudowany został.«

Widzimy ztąd, że ów Lew Daniłowicz nie może być nazwany właściwym **założycielem** Lwowa, ale tylko jego **odnowicielem**. Pierwotne

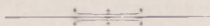


założenie tego miasta, znika w nieokreślonej przeszłości, w której oczom Baśni wolno jest dopatrzeć postać jakiegoś dawniejszego twórcy.

Str. 92, w. 8 od dołu:

*Był to władca Kalifatu,  
Harun-al-Raszydem zwany.*

Sławny Kalif Harun-al-Raszyd, którego panowanie tak mocno utkwilo w wyobraźni wschodnich ludów, że najpiękniejsze powieści z **Tysiąca i jednej nocy**, odnoszą się do jego rządów, był — według naszego rachunku — współczesnym Leszkowi II-mu, żył bowiem w tym samym czasie co i Karol Wielki, z którym nawet utrzymywał uroczyste, poselskie stosunki.



## DO CZĘŚCI CZWARTÉJ O MIECZU SAMO-SIECZU, I KONIEC.



Str. 102, w. 17 od dołu:

*Pewnie byli to Normanie.  
.....  
A ów Drągal, wódz ich tęgı,  
Był to..... Raniar, zwan Lodbrokiem.*

Poeta, który chce z niejaką wiernością przedstawić obraz danéj epoki, powinien malować nietylko ten kraj w którym się rzecz dzieje, ale i ogólny nastrój ówczesnego świata. Z téj to przyczyny, i do niniejszój Baśni zostały wprowadzone postacie, Karola Wielkiego, Harun-al-Raszyda, i Raniara Lodbroka, które są uosobieniem trzech największych potęg, jakie wówczas rządziły losami Europy i Azji.

Str. 102, w. 4 od dołu:

*Stu-łokcione kul orężę,  
Łamał mury, dusił mężę,  
Aż go w końcu..... zjadły węże.*

»Sigurd Snake-eye,« monarcha Duński, »zginął w bitwie przeciw Karolowi Wielkiemu w 803-m roku. Pozostawił koronę synowi swemu, sławnemu Raniarowi przezwanemu Lodbrokiem, którego dziwne i poetyczne przygody, różnie są opowiadane przez Roczniki frankskie i anglosaxońskie. Rozszerzył on daleko chwałę imienia Duńskiego, jeśli prawdą jest że drżały przed nim, nie tylko Anglja, Irlandja i Szkocja, ale nawet Francja, Saxonja, i Grecy Hellespontu. Umarł w wyprawie przedsięwziętej na Northumberland, która to wyprawa bywa umieszczana raz w r. 793-m, to znów w 865-m.

»Przyodziały szatą zaczarowaną, którą mu dała wierna jego małżonka Aslauga, uzbrojony włócznią, którą zabił węża Ormura, strażnika pierwszej jego narzeczonej Thory, cztery razy przedarł się przez szeregi nieprzyjacielskie, śmierć w kolo rozsiewał, a sam zostawał nietknięty. Wszyscy jego owarzysze padli przy nim koleją, aż zupełnie osamotnionego, Saxonowie wzięli w niewolę. Na zapytania: Kim jest? Odpowiadał dumnym milczeniem. Oburzony tą wzdgarą, król Aella kazał go wrzucić w dół napełniony żmijami, i zostawić tam póty, póki by nie wyjął swego imienia. Ale żmije go nie dotykały, i widok ten już zaczynał w Saxonach budzić uwielbienie, kiedy król kazał mu zdjąć szatę. Wnet węże rzuciły się na niego, a podanie mówi, że przed skonaniem, Raniar wyśpiewał swoją pieśń wojenną.« **Histoire des États Scandinaves** par A. Gefroy — Paris — 1851 — Pag. 37.

Ta przedśmiertna pieśń Raniara, jest jednym z najslawniejszych i najzacowniejszych zabytków starożytnej poezji Skandynawów.

Str. 105, w. 14 od dołu:

*Raz, po syna posłał rano.*

»*Śłuchaj! Rzekł.... »To Słowiańszczyzna....*

»*Weź mi zaraz tę krainę.*«

»U Czechów był Lech zabity w wojnie z Frankami. Potocki Jan, uznał go — za przewodnictwem Długosza — za jednego z naszych Leszków.« **Polska Średnich Wieków** J. Lelewela — Poznań — 1855 — Tom I — Str. 261.

A o o ów tex Długosza:

»Niekórzy twierdzą iż ten Leszek w walce z cesarzem Karolem Wielkim toczonęj, był zwyciężony i zabity. Tak bowiem znalazłem iż Marcin Gallicki o nim pisał: »W roku 805. Cesarz Karol, posłał Karola »syna swego, do Polski, który spustoszywszy wszystko, zabił Leszka, Xięcia »kraju owego; a powróciwszy ztąd do ojca, zastał go w lesie Wozzego, »zajętego polowaniem.« **Dzieje Polskie** — Leszno — 1840 — Str. 160.



Str. 108, w. 4 od dołu:

*Za nim idą Krakowiaczy..... I Polanie.....  
I Ślązk idzie, i Morawy.....  
I Czechowie, naród co nadgryza nosy.....\*)  
I Mazury..... I Łużyckie rotty.....*

J. Lelewel, w przytoczonym już powyżej swoim Studium nad niniejszą epoką, (**Polska Średnich Wieków** — Tom I — Str. 264 i dalsze), przytacza i porównywa różne opisy tej wojny, wyjęte ze starych Annalistów. Najciekawszym dla nas jest opis Eginharda, który żył za czasów Karola Wielkiego, i był Sekretarzem tego Monarchy, a nawet — jak podszeptuje legenda — jego zięciem.

**Einhard**, continuator annal. laurissens. (Pag. 192):

»805. Tegoż roku posłał wojsko swoje, (Karol W.) z synem swoim Karolem, w ziemię Słowian co się zwali Boheimi.... Wyszli tedy naprzeciw króla Karola przybywający zewsząd na płaszczyznę Bohemowie, i wszyscy książęta różnych narodów. Niezliczone te wojska, niedaleko od siebie położone obozem. Całe zaś wojsko króla Karola, i książąt którzy z nim razem — podług zwyczaju cesarskiego — byli, samą krainę zajęło. Lecz Słowianie, w bezdroża i góry zapuściwszy się, bynajmniej do walki się nie sposobili. Spustoszywszy zatem i spaliwszy przez czterdzieści dni tę krainę, książęcia ich Lechona zabił. A gdy już ani paszy dla koni, ani żywności dla wojska nie dostawało, zniszczywszy do szczętu rzeczoną krainę, do własnej powrócił.«

Otóż, co tu jest dla nas ciekawem, to wiadomość, że »wyszli naprzeciw króla Karola« nie tylko Bohemowie, ale i »wszyscy książęta różnych narodów.«

Widzimy ze słów tych, że chociaż wojna toczyła się — według autora — na ziemi Czeskiej, wszelako nie sami tylko Czesi brali w niej udział, ale byli bronieni połączoną siłą wielu Słowiańskich ludności. Owe to »niezliczone« wojska posiłkowe, obrały sobie prawdopodobnie naszego Leszka za wodza, za »króla mężów«, a to chwilowe zjednoczenie się Słowian pokazuje, że tu nie chodziło już o zwykłą waśń narodów, ale o walkę całych szczepów.

Str. 110, w. 5 od góry:

*Mieczu, mieczu Samo-sieczu!*

---

\*) Odgryzanie nosa, było niegdyś w Czechach bardzo rozpowszechnionym sposobem wywierania zemsty na nieprzyjacielu, zwłaszcza na niewiernych niewiastach.

O »*Mieczu Samosieczu*« patrz w **Bajarzu** Glińskiego — Wilno — 1853 — Tom II — Str. 7.

W témże dziele znajdują się wzmianki o *Gęślach Samograjach*, o nazwach: *Dobrotka*, *Pięknotki*, *Junaka*, i o wielu innych szczegółach, które do téj Baśni zostały przystosowane.

Str. 109, w. 11 od dołu:

*Przez dzień jeden, przez dzień drugi,  
Równe obu wojsk zasługi.*

*Na dzień trzeci, strzała leci,  
Wskrós przebija bok Dobrotka.*

.....  
*Szwab już górę brać zaczyna.*

.....  
*Padł na Niemce popłoch srogi.*

Obraz téj bitwy, zaczynający się od zwycięstwa cudzoziemców, a kończący się na ich porażce, tak został ułożony, ażeby mógł przedstawiać w streszczeniu cały przebieg téj długiej wojny, w której szczęście, to na jedną, to na drugą stronę, kolejno się przechylało.

Oto jak W. A. Maciejowski odtwarza jój zmienne losy:

»Powiedzmy w jakich wojnach z Karolem Wielkim, odznaczyli się Lachowie. Odpierając Karol W. wroga, zaskoczył Sasów roku 778 w kraju Hassów, w miejscu nazwaném Liesi, nad rzeką Adarną. (Dzisiejsza Eder.) Zwycięzcą wyszedł z téj walki król Franków. Następnego roku 779, była druga bitwa, w niewiadomém stoczona miejscu, w której wiele Lachów mężnie stawilo Frankom czoło. Rozproszeni, powetowali szczęścia, oparli się najeźdźcom, i spędzili ich z placu bojowego.« **Pierwotne dzieje Polski i Litwy** — Warszawa — 1846 — Str. 41.

Z tych rozlicznych wzmianek, ściągających się do różnych lat jednéj i téjże saméj epoki, można wywnioskować, że w ciągu długich walk jakie Karol W. toczył ze Słowiańszczyzną, były starcia w których zwycięstwo i po naszej stronie zostawało.

Wprawdzie obcy Kronikarze, rozwodzą się głównie nad tryumfami Karola i jego synów, ale jak dowcipnie zauważył Bielski: »postronni Historykowie nie pisali naonczas naszego szczęścia, iedno swoje, y to go więcej przyczyniali niż było, a nasi na ten czas pisać swoich dzieiów nie umieli, ani o to dbali.« (Wyđ. Warsz. Str. 27.)

Zresztą, powieść Eginhardowa pokazuje, że największy z owych tryumfów, ograniczył się na ulubioném w owe czasy *spustoszeniu* i *zupieniu* napadniętej krainy, a Słowianie, mądrém unikaniem stanowczéj



rozprawy, i cierpliwą »gerylasówką«, dopóty rwali nieprzyjaciół, aż ich głodem od siebie wypłoszyli.

Ostatecznie, cała ta wojna nie musiała wypaść korzystnie dla Franków, kiedy Karlowingowie nie podbili jednak tych ziem Słowiańskich, które parokrotnie najeżdżali, i przez długie potem lata, podobnych najazdów już nie ponowili.

Str. 111, w. 12 od dołu:

*Wedle staréj xiąg mądrości,  
Król okrutnie żalowany,  
Po zwycięztwie umarł z rany.*

*Lecz znów inna xięga fuka,  
Że król wrócił się do domu.....  
Z rany wyszedł jak najzdrowiej.*

Oba te zdania są przytaczane przez naszych Kronikarzy, i to niekiedy jednocześnie.

Oto co pisze Długosz:

»Gdy Leszek II-gi, rządząc sprawiedliwie i skromnie, Polakom wiele lat zwycięzko i szczęśliwie panował, zakończył życie, strawiony późną starością, doszedł do zgrzybiałego wieku. Niektórzy twierdzą iż ten Leszek, w walce z cesarzem Karolem Wielkim toczonéj, był zwyciężony i zabity..... Czy tedy Leszek szedł śmiercią naturalną, czy gwałtowną, zostawił Polakom dziedzica, syna jedynaka, tegoż imienia, Leszka.« **Dzieje Polskie** — Leszno — 1840 — Str. 160.

Str. 112, w. 5 od góry:

*Wykołysał sobie wnuka,  
Co nazywał się Popielkiem.*

Leszek który pod nazwą Dobrotka występuje w téj Baśni, był założycielem dynastji, jaka w naszych dziejach stoi między krótkotrwałym rodem Krakusa, a pięć-wiekowym rodem Piastów. Ta dynastja, ledwo sto lat panująca, przedstawia tylko cztery pokolenia, dwóch Leszków i dwóch Popielów. Szeroko jednak i wspaniale musiała ona rozpostrzeć swoje władanie, kiedy z samego wyliczenia krajów, które Kronikarze podciągają pod imiona wnuków naszego Leszka, (braci Popiela I-go,) można się domyślić, jak ogromny obszar ziemi, zostawał pod przewodztwem tego rodu.





## SPIS RZECZY.

	Str.
DEDYKACJA . . . . .	1
SŁOWO WSTĘPNE . . . . .	3
CZEŚĆ PIERWSZA.	
O WDOWIE I JĘJ TRZECH SYNACH . . . . .	9
CZEŚĆ DRUGA.	
O CHŁOPCZYKACH, CZAROWNIKACH I GWOŹDZIKACH . . . . .	37
CZEŚĆ TRZECIA.	
O SMOKU I O SUKMANIE . . . . .	69
CZEŚĆ CZWARTA.	
O MIECZU SAMO-SIECZU, I KONIEC . . . . .	93
PRZYPISY . . . . .	113

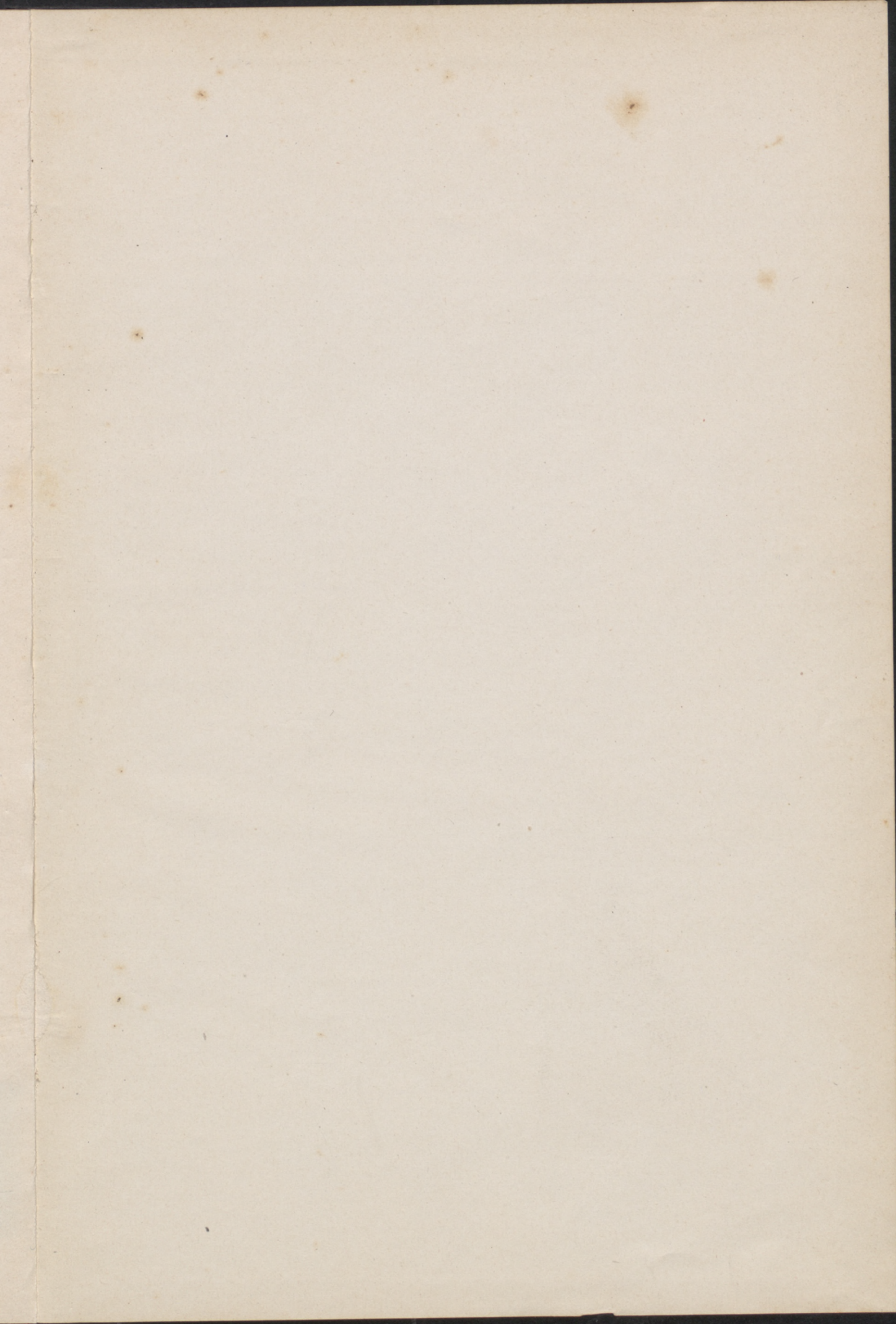




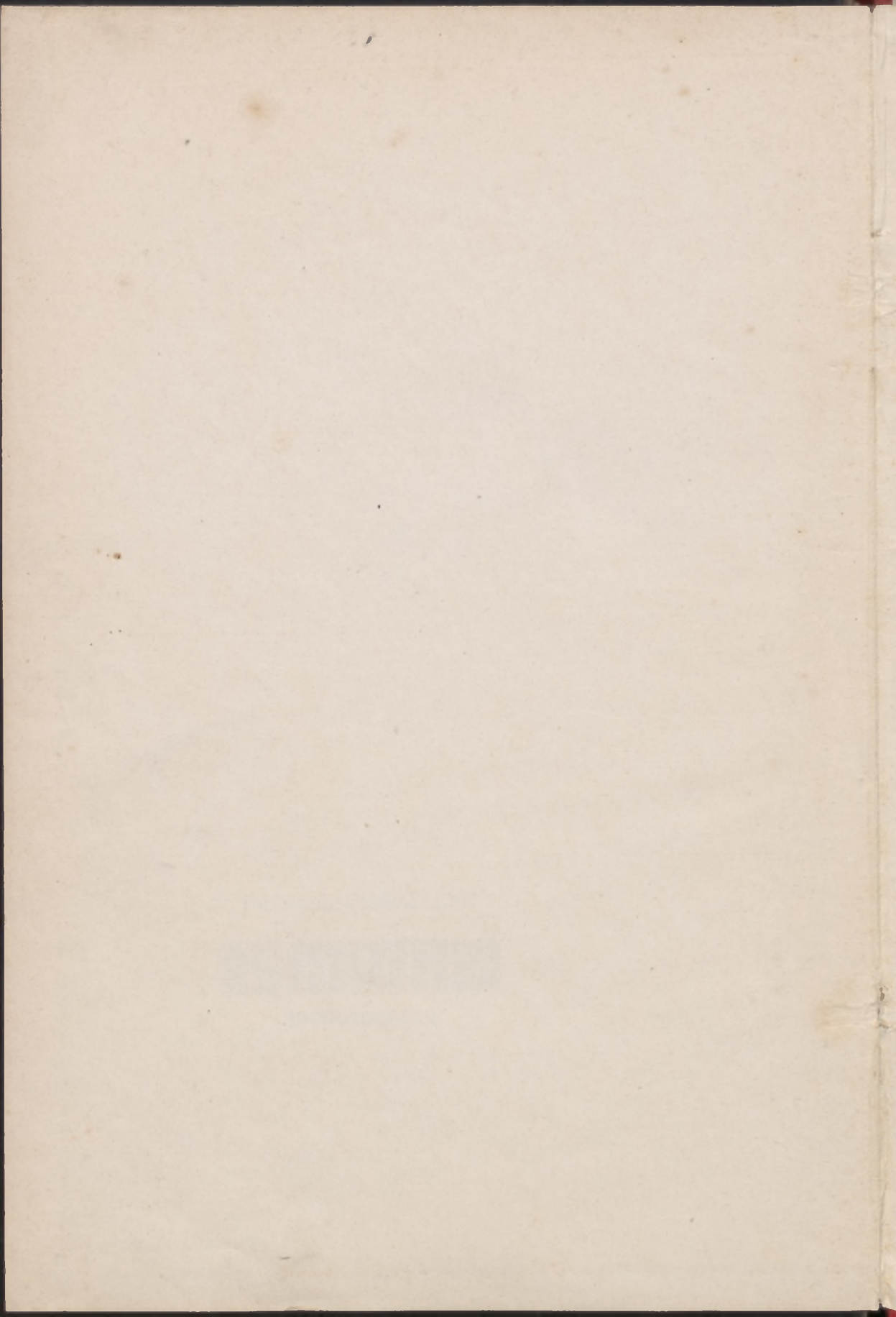
Biblioteka Główna UMK

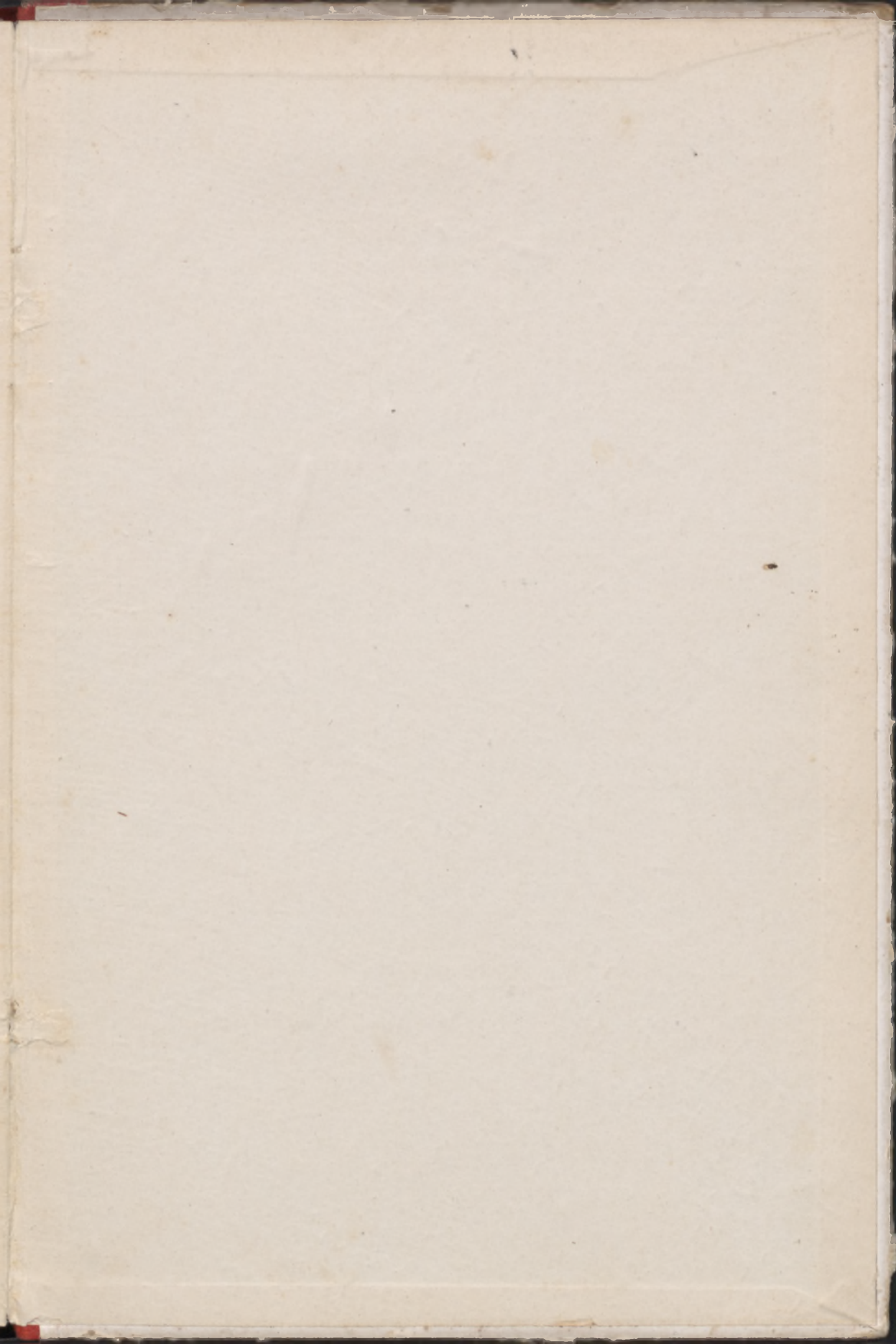


300001048214











354030